MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 14. WARSZAWA, 7 KWIETNIA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

BEZ ZŁUDZEŃ

DNIA 16 MARCA 1813 roku rząd pruski ogłosił pobór powszechny, odrzucając w ten sposób ograniczenia, nałożone nań przez Napoleona po klęsce pod Jeną przed siedmiu laty. Dnia 16 marca roku bieżącego rząd niemiecki ogłosił powrót Niemiec do powszechnej służby wojskowej, wbrew postanowieniom traktatu wersalskiego. Daty te zbiegają się oczywiście nie przypadkowo; dzień wybrany na ogłoszenie aktu tegorocznego ma podkreślić, że Niemcy dzisiejsze idą za przykładem i wskazaniami Steina i Scharnhorsta, którzy odbudowywali militarną potęgę Prus po napoleońskim pogromie.

W kilka miesięcy po akcie 1813 roku, na jesieni, rozegrano bitwę pod Lipskiem, pierwszy etap odwetu pruskiego. Czy i odwet ten nastąpi tak rychło, nikt naturalnie przewidzieć nie może, jednakże jasne jest, że w powojennem położeniu międzynarodowem dokonały się już takie zmiany, iż widmo nowego zatargu zbrojnego staje się zastraszająco wyraźne. Musimy liczyć się z tem, że okres pokoju, jaki mieliśmy do zorganizowania i umocnienia naszego państwa, może już mija, a koniec jego przyjść może nagle i nieoczekiwanie. Wiemy wszyscy dobrze, skąd ta nowa klęska może się na świat wychylić i dlatego kwestja stosunku naszego do zachodniego sąsiada góruje dziś nad wszystkiemi zagadnieniami.

Niedawno senator Stan. Kozicki omawiał na tem miejscu książkę Wł. Studnickiego, który z nakładem dużej erudycji i z pomocą mnogich argumentów statystyczno-gospodarczych usiłuje przekonać opinję polską o konieczności i zbawienności radykalnej zmiany dotychczasowej orjentacji międzynarodowej. Sen. Kozicki uwydatnił słusznie zasadniczą wadę rozumowania p. Studnickiego, jego jednostronność: uważa on, iż wszystkie kwestje sporne między nami i Niemcami nie są dla Niemiec ważne, że właściwie mówiąc, są dla tak wielkiego państwa bagatelne; ale nigdzie nie daje dowodu na to, iż tak myśli nietylko on, ale myślą Niemcy. Istotnie, w książce p. Studnickiego czytać można o tem, co autor w różnych okolicznościach powiedział Niemcom, ale brak informacyj o tem, co mu na to owi Niemcy odpowiedzieli, tak że całość przypomina znaną pieśń o rozmowie dziada z obrazem. Może oczywiście ktoś być zdania, że t. zw. korytarz ma doniosłość mniejszą znacznie dla Niemiec dzisiejszych, niż miała dla Prus dawniejszych ciągłość połączenia terytorjalnego z Prusami Książęcemi, ale to w niczem nie zmienia faktu, że Prusy i dzisiaj także grają wielką rolę w polityce Niemiec, że podstawą ich państwowości był podbój i kolonizacja na wschodzie, i że nic nie wskazuje na to, żeby u nich nastąpiła jakaś zmiana dążeń, lub nawet tylko nastrojów. Na to trzeba zwrócić szczególną uwagę, gdyż rozmaite manifestacje, towarzyszące zawartemu z Niemcami dziesięcioletniemu układowi o nieagresji, mogą wprowadzić w błąd część opinji naszej, nieobeznanej bliżej z psychiką niemiecką.

Niemcy są narodem bardzo dyscyplinowanym, a w dodatku podział pracy obejmuje u nich nietylko dziedzinę produkcji przemysłowej, lecz rów-

nież przenika ich życie zbiorowe. Przeciętny Niemiec chętnie powierza rozmaitym „specom" troskę o sprawy ogólne, np. polityczne i idzie za nimi karnie, zwłaszcza, jeżeli tak, jak dzisiejsze rządy tamtejsze, zawładnęli jego intymnemi instynktami. Nic też dziwnego, że na dany zgóry znak stosunek do Polaków zdaje się zmieniać, i w tej samej piwiarni, gdzie dawniej odezwanie się po polsku wywołałoby natychmiast awanturę ze strony najbliższych sąsiadów, dziś słowa polskie mogą nawet wywołać przyjazne „przepicie" i pozdrowienie, wypowiedziane w jakiemś zdaniu polskiem, zapamiętanem z czasów okupacji. Nic to nie jest dziwnego, ale też i nic ważnego, z czego możnaby wyprowadzać jakieś wnioski. Trzeba bowiem stale pamiętać o tem, że zgoda z kimś obcym jest dla Niemca zawsze równoznaczna z ustępstwem tego kogoś wobec żądań, czy uroszczeń niemieckich; Niemcy bowiem zawsze mają rację, są nieomylne, żądania ich słuszne i sprawiedliwe. Trudno bowiem o naród, któryby miał tak znikomą dozę samokrytycyzmu, jak Niemcy.

Ta strona psychiki niemieckiej jest często niezrozumiała i zaskakuje zwłaszcza nas, którzyśmy wiek cały strawili na doszukiwaniu się istotnych czy urojonych win i wad w nas samych. Nic podobnego niema w narodzie niemieckim, a gdy zdarzy się jednostka, która spojrzy bystrzej i ośmieli się swym spostrzeżeniom dać wyraz, to zginie otoczona powszechną nienawiścią i wzgardą. Mógłby kto na to powiedzieć, że to jest zdrowa reakcja poczucia narodowego, niedopuszczającego paraliżującej krytyki po dniach klęski, kiedy naród potrzebuje właśnie jaknajwięcej zaufania do siebie. Nie będę się o to spierał, ale dla porównania i zrozumienia różnicy proszę jedynie o uprzytomnienie sobie już nie tylko falangi osób, ale szkół całych, które u nas w dniach klęski nie zostawiały całej nitki na naszej historji, charakterze narodowym i t. d.

Niemiec wierzy święcie w nieskazitelność swego charakteru narodowego w przeciwstawieniu do innych i powiedzenie o *„Welsche Tücke, Deutsche Treue"* jest aksjomatem nie ulegającym żadnej wątpliwości. Fakty tak jaskrawo przeczące owej *„deutsche Treue"*, jak np. pogwałcenie neutralności Belgji, nie robią żadnego wrażenia, gdyż na usprawiedliwienie przychodzi bardzo naiwne, ale zupełnie wystarczające stwierdzenie, że „to nam było potrzebne", a przecież potrzeba niemiecka nie może być niesłuszna i oczywiście stoi ponad wszystkiem innem. Nie zapomnę dyskusji za czasów studenckich z kolegą Niemcem, bardzo zresztą inteligentnym, który na zarzut mój, że Prusy zagarnęły państwo Gwelfów, Brunszwik i Hannower bez żadnego prawa lub pretekstu prawa, odpowiedział: „tak, ale myśmy ich uprzedzili, że to nastąpi, jeżeli nie pójdą z nami przeciw Austrji". Uprzedzenie uważał za usprawiedliwienie.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że dzisiejszy „rozejm", jeżeli to tak nazwać można, kojarzy się w podświadomości mas niemieckich z przekonaniem o ustępstwach ze strony polskiej, o tem, że Polacy uznali wreszcie w duchu słuszność żądań niemieckich i nie dziś wprawdzie, ale może za dziesięć lat pójdą na te ustępstwa, inaczej układ byłby tylko dowodem *„slavische Tücke"*. To też gdy po owych latach lub wcześniej okaże się, że Polacy trwają przy swojem, nic łatwiejszego jak wznieść okrzyk „zdrada" i rozhuśtać przeciw nam tem potężniejszą falę oburzenia i nienawiści. Przywódcy niemieccy wiedzą o tem, trzeba żebyśmy i my o tem wiedzieli i pamiętali.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

PACYFIZM WIELKANOCNY

W PIĄTEK 29 marca w prasie warszawskiej podano wzmiankę następującą:

„Ukazało się rozporządzenie komisarza rządu w sprawie tradycyjnej strzelaniny świątecznej. W tym roku będzie wzbronione strzelanie ze wszelkiego rodzaju broni palnej, nie wyłączając straszaków. Nie wolno posługiwać się petardami i „żabkami". Składy apteczne mają wstrzymać również sprzedaż wszelkich materjałów wybuchowych i surowców, a zwłaszcza chloranu potasu, który może być nabywany tylko w aptekach za receptą lekarza. Niezastosowanie się do tych przepisów pociągnie za sobą karę 14 dni aresztu lub grzywnę do 500 złotych".

Odwieczny, piękny zwyczaj strzałów na jutrznię Zmartwychwstania zostaje nagle zakazany, a zakaz ogromnemi karami obwarowany. Pielęgnowana, lecz nie! — raczej sama tajemnem życiem w szerokich warstwach ludu miejskiego żyjąca tradycja rycerska ma być przerwana, jej ożywczy, wiosenny urok ze stolicy precz wyżeniony, a może w całej Polsce tym wzorem prędzej czy później unicestwiony. Dlaczego?

Poza sferą pachołów żydowskich, jakiż Polak rasowy nie odczuwa głębokiego wzruszenia w ciągu owej nocy wielkanocnej na odgłos licznych petard raz po raz bliżej i dalej strzelających, a hucznych, jak arkebuzy, jak muszkiety, jak bandeloty i kolubrynki pradawne, które tradycję ową przed wiekami w Polsce stworzyły i ugruntowały — —? Porównywał ktoś te strzały do pękania pąków wiosennych na drzewach. Istotnie, tak to jest w symbolu, ale i historyczna strona tego zwyczaju wywiera swój czar osobliwy.

Nie umiem ściśle wyznaczyć czasu, kiedy mianowicie zwyczaj ten się narodził. Może mnie

w tem jaki historyk zawodowy zastąpi i cząstkę wiedzy swojej łamom tym udzieli. A ja tymczasem przytoczę tylko miejsce jedno z pamiętnika Jana Chryzostoma Paska, gdzie o tym właśnie zwyczaju wspomniano. — Z pobytu w Danji opisuje Pasek pewną swoją przygodę morską, a w tym opisie jest miejsce następujące:

„Jedziemy tedy do uprzykrzenia; nie widać, tylko niebo a wodę; więc że ja miałem bardzo wzrok bystry, pierwej, niżeli oni, obaczyłem jakieś budynki. „Owo z lewej strony, zdaje się, widać miasto". Oni tego widzieć nie mogli, mówią: „Uchowaj Boże, abyśmy z lewej strony miasto widzieć mieli, nasze miasto powinno być po prawej ręce". Jedziemy bliżej, aż okręty stoją w porcie Niköping. Dopiero trwoga okrutna. Uciszyliśmy się, aż zegar począł bić, a wtem ruszymy się w bok cichusieńko; a już też nas dojrzał szyldwach i zawoła: „*Wer da?*" Nic się nie odzywamy. Drugi raz „*Wer da?*" Ja mówię owemu swemu gubernatorowi: „Mów żeśmy rybacy". Takci tedy odpowiedział. Spytał: „Skąd?" Odpowiedział: „Z tego tu lądu". Kiedy weźmie beształ, źle życzyć: „O, szelmo! dy to już święto, dy to już Wielkanoc!" Kiedy to weźmiemy rznąć, w sześć pojazd udaliśmy się do lądu, nie na morze, żeby się nie domyślili. A już się też troszkę znaczył świt, a wtem poczęli z armaty strzelać wtyle nas; dopierom się domyślił, że to jutrznia, i mówię: „Otóż patrzcie, tam jest Arhusen, gdzie strzelają". „O, na Boga! nie jest to Arhusen, ale Kopenhaga, gdzie przy oblężeniu strzelają". Ja im powiadam, że to u nas jest zwyczaj strzelać podczas jutrzni zmartwychwstania Pańskiego".

Było to w roku 1659. Jeżeli tedy Pasek strzelanie wielkanocne nazywa zwyczajem, to nie przesadzimy wyznaczając wiek tego zwyczaju na lat mniej więcej trzysta pięćdziesiąt. Jakim cudem po okresie rycerskim, szlacheckim, poprzez podziemia niewoli, przetrwał w głębinach ludu miejskiego? A skoro trwa, to wyraźnie świadczy nietylko o mocnych tego ludu związkach z przyrodą, ale i z historją polską. Dla czyjej korzyści ma lud wyzbywać się tego zwyczaju? Istnieje tylko jeden „czynnik" w obecnem życiu Polski, któremu na tem zależy: to są żydzi.

Z wielu powodów żydom mocno ten zwyczaj polski przeszkadza. Naprzykład: 1. Żydzi nastawiają teraz cały świat na pacyfizm, a to strzelanie wielkanocne zanadto pachnie militaryzmem. 2. Żydzi nie lubią, żeby im przypominano Wielkanoc, a tu się ona przypomina tak hucznie. 3. Żydostwu bardzo zależy na odrywaniu narodów rdzennych od ich rodzimej tradycji, zatem „czynniki" najmniejszy nawet zwyczaj, tradycją tchnący, tępią bezwzględnie. 4. Posępne, poza przyrodą żyjące *ghetto* świata wszelkiemi sposobami stara się odcinać narody rdzenne od przyrody i jej zdrowych radości. 5. Strzelanie wielkanocne napędza żydom prawie takiego stracha, jak szczekanie psa.

Podobno zakaz ów pozoruje się wypadkami, które zwyczaj ów jakoby często wśród młodzieży powoduje. Nie jest to powód wystarczający, bo można sprawę tak unormować, żeby wypadków nie było, a sądzę nawet, że właśnie istnienie zakazu jest przyczyną wypadków, bo chłopcy się kryją, spieszą się i denerwują, a gdyby groźba policyjna nad nimi nie wisiała, czyniliby rzecz swoją uważnie i starannie.

Ale próżne są tu wszelkie uwagi i dowodzenia! Jeżeli cały świat wije się obecnie w splotach boa — pacyfizmu politycznego, to jakżeby Warszawa miała się wymknąć od pacyfizmu wielkanocnego?! Będziemy tedy wiosnę witali w ciszy szabasowych pantofli.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

POWIEŚCI WYBRANOWSKIEGO

PO WSZYSTKIE czasy literatura była wyrazem uświadomień i dążeń społeczeństwa[1]). Literaturze słusznie przysługuje tytuł „narodowej". „Artysta" — uczył Chmielowski — „musi być obywatelem". Duch czasu kładzie swoje piętno na literaturze polskiej, a w krytyce wyraża się jako nawrót do metody socjologicznej.

Literatura narodowa może być pojęta także jako artystyczny wyraz — oczywiście, że nadewszystko odbijający ducha narodowego, jego treść, formę i kierunek, — ale także wskazujący całkiem konkretnie drogi narodowi. Słowem, tendencja społeczna nie niszczy artyzmu literatury narodowej.

I rzeczywiście w najnowszej literaturze polskiej pojawiło i pojawia się z dnia na dzień więcej znamiennych dzieł beletrystycznych, których ocenę p. Pomirowski (Pomper) w „Nowej literaturze nowej Polski" uprościł sobie milczeniem.

Przedewszystkiem zaś publiczność odwraca się od internacjonalizmu i liberalizmu literatury żydowskiej i pacyfistyczno-masońsko-marksistowskiej, a równocześnie żywi pragnienie literatury nowej, zdrowej, chrześcijańsko-narodowej, polskiej; nawet w krytyce pragnienie to dojrzało do wyraźnego postulatu literatury narodowej. Wspomnę Z. Wasilewskiego, Ad. Nowaczyńskiego, J. Rembielińskiego, M. Pawlikowskiego, St. Piaseckiego, St. Pieńkowskiego, a jest ich długi szereg, zwłaszcza wśród pokolenia najmłodszego. Zdaje się, że takie okresy głodu literackiego poprzedzały zawsze wielkie dzieła.

Przemiana dokonuje się zwolna. Gustaw Le Bon w książce „Psychologja tłumu" pisze: „Istotne przewroty w dziejach ludzkości nie odbywały się ani gwałtownie, ani nie potrafią przykuć naszej uwagi swą wielkością. Decydujące bowiem zmiany, dzięki którym odnawiają się cywilizacje, zachodzą w idejach, pojęciach i wierzeniach". Literatura w Polsce jest stanowczo pod znakiem przemiany idej, pełnej narazie trudu, ba, nawet i niezgrabności, ale z pewnością twórczej.

W roku 1931 wyszły dwie powieści pod tytułami: „W połowie drogi" i „Dziedzictwo", drukowane w odcinkach „Gazety Warszawskiej", a potem w osobnych wydaniach książkowych. „Dziedzictwo" wychodzi obecnie w drugiem wydaniu. Autorem obu książek jest Kazimierz Wybranowski. „Gazeta Warszawska" zapowiada na czas najbliższy nową powieść tego autora.

Książki Wybranowskiego przyjęła krytyka przychylnie. Leon Piwiński w n-rze 52 „Wiadomości Literackich" z r. 1931 napisał recenzję bardzo życzliwą. Ma tylko Piwiński zastrzeżenia treściowe, a mianowicie co do oświetlenia roli masonerji w „Dziedzictwie". Najprzychylniej ze wszystkich

[1]) Dowodem żywego zainteresowania powieściami Wybranowskiego jest artykuł niniejszy młodego pisarza. Zamieszczamy go wobec tego, że wkrótce, jak to zapowiedziała „Gaz. Warsz.", ukazać się ma nowa powieść tego autora. — Red.

przyjął powieści Wybranowskiego Adam Grzymała-Siedlecki w „Kurjerze Poznańskim". U Wybranowskiego dostrzega „szczery, pełnokrwisty instynkt powieściopisarski". „Wszystko tu" — pisze — „jest proste, jak za czasów Sienkiewicza". Omawiając optymizm Wybranowskiego stawia Siedlecki zjawisko jego twórczości narówni z początkami sławy Reymonta, Żeromskiego i Weyssenhoffa. I oto, co podkreśla Grzymała-Siedlecki: „Ten zadatek prawdziwie polskiego talentu bodaj że odróżni Wybranowskiego od szeregu innych pisarzy, zaczynających karjerę od ambicji zatarcia polskiego koloru w swojej sztuce".

Tajemnicą jest osoba autora „Dziedzictwa" i „W połowie drogi". Nie znamy jego osoby, ale dostatecznie znamy jego duszę i jej ideały. Jest to Polak, świadomy polskości, narodowości, sił, celów i wrogów narodu, czynny chrześcijanin, bystry obserwator życia i myśliciel, pozatem niepospolity pisarz. Styl Wybranowskiego, który słusznie wysoko ocenił Piwiński, jest jasny i zrozumiały, zupełnie prosty, tok akcji i djalogów logicznie sprzężony i oszczędny.

Mimowoli przypominają się mądre i z głębi duszy czującej wypowiedziane słowa R. Dmowskiego o stylu i języku, wypowiedziane po wręczeniu mu nagrody literackiej m. Poznania w roku 1927: „Powiedziano: styl to człowiek, również trzeba powiedzieć: język to naród. Wartość języka to miara wartości narodu, jego duchowej kultury. To też zajęty swą osobą pisarz skupia swą uwagę na stylu; pisarz Polak myśli przedewszystkiem o języku. Pielęgnujmy w czystości, uczciwej prostocie i męskiej sile polskie słowo, jeżeli chcemy mieć czystą, uczciwą i męską myśl polską. Szczebiotem, paplaniną lub żargonem wielki naród żyć nie może. Potęga języka jest jednym z wielkich czynników i warunków potęgi narodu". Twórczość Wybranowskiego pozostaje w zupełnej zgodzie z temi poglądami. Z języka powieści Wybranowskiego bije powaga i moc mowy polskiej. (Styl to człowiek — prawda ta jest wyrazem nietylko odrębności podniet zmysłowych i umysłowych duszy ludzkiej, ale jest przedewszystkiem wynikiem jego postawy moralnej. I nietyle głębia czy piękno języka, ile jego prawda i jego siła są świadkami przeświadczeń i pragnień autora. Każdy człowiek, wielki i silny moralnie, ma swój odrębny styl. Styl prosty i mocny dzieł Wybranowskiego ratuje często jego niekiedy nieprawdopodobną, zbyt uproszczoną fatygowaniem nadzwyczajności, akcję. Styl ten zaświadcza o surowej, konsekwentnej i skłonnej do wielkich czynów moralności pisarza).

„W połowie drogi" — to dzieło lżejsze, ale też i nazbyt uproszczone. Akcja bardzo ciekawa — Wybranowski istotnie, jak to już zauważono, nie poszedł za hasłem proust'ystów: „każdy rodzaj jest dobry, oprócz interesującego". Książki Wybranowskiego, niezwykle żywe, potoczyste, czyta się jednym tchem, zwłaszcza że właściwie obie są powieściami sensacyjnemi. Ale „W połowie drogi" jest stanowczo za uboga w budowie. Sceny tu wynikają jedna z drugiej, bez przeszkód, bez dygresyj, bez dbałości o nieodzowne przerwy patetyczne, będące tem dla powieści, czem chóry dla dramatu, a które do takiej wspaniałości doprowadził Żeromski.

„Dziedzictwo" jest już w budowie misterne, splątane, chociaż zbyt moralizatorskie. Dbałość autora o każdy sąd stwarza zbytnią surowość. Oczyszczanie się autora z ewentualnych zarzutów moralnych najwidoczniej zaznacza się w legitymowaniu czynu Grzegorza w „Dziedzictwie". Słowem, estetycznie powieści Wybranowskiego nie są doskonałe, owszem jednostajne, surowe. Obrazów mało: najsilniejsze to: nocna przygoda Basi, lasy Berezówki i napad na Borowskiego we „W połowie drogi" oraz pogrzeb starego Twardowskiego, salon Czarnkowskich, buduar Brzozowskiej i pożar dworu turowskiego w „Dziedzictwie". Z drobnych, rozsianych obrazków najlepsze są szkice przyrody ojczystej, owiane swoistym sentymentem. Wybranowski okazał się mistrzem w opisywaniu miłości i tworzeniu jej nieprzeciętnych typów: Basia, mająca coprawda wiele cech wielu swych polskich poprzedniczek, a zwłaszcza właśnie Basi Sienkiewiczowskiej, ale nowa dzięki środowisku i celom swoim, chłodna, surowa, a niemniej kochająca i zazdrosna; Ola — typ pięknej zdobywczyni, tragicznie rozpuszczonej nadmiernemi uwielbieniami i czującej swoją niższość umysłową, kobiety źle wychowanej przez rodziców, bardzo ludzki, a tak rzadki ze swą naturalnością w literaturze; wobec moralnych ekstremów jest to chyba najtrafniej malowana i najwierniejsza życiu postać Wybranowskiego. Co dziwniejsze, że autor kreśli jej sylwetkę bez staranności, odniechcenia, ironicznie i krytycznie. Brzozowska — lwica salonowa, klasyczny typ żydowskiej piękności, które tak dosadnie określił Tuwim w wierszu — *„Semi-Eros"* („Jarmark rymów").

Nareszcie Wanda, typ kobiety pięknej i mądrej, a ceniącej bardziej rozsądek — oto malowidła bardzo zręczne i oryginalne. Wszystkie te kobiety (prócz Brzozowskiej) cechuje bezgraniczna wiara w mądrość i energję mężczyzn. Dramat między Borowskim, Basią i Olą należy do najciekawiej i najumiejętniej przedstawionych konfliktów miłosnych w beletrystyce polskiej. Wybranowski jest dobrym psychologiem i to mu pozwala doskonale odczuć odcienie miłości. Mówi np. o Jankowskim, mężu Oli: „To człowiek młody, fizycznie wcale zdrowy i silny, ale moralnie zdechlak. Nie ma za grosz temperamentu. Tacy ludzie często przepadają za tygrysicami. W ich pobliżu mają złudzedzenie, że sami są kawałkami tygrysów"... Bardzo trafne jest inne spostrzeżenie Wybranowskiego o miłości: „Miłość bez zazdrości. Toć to instytucja żydowska. Stanowisko czysto utylitarne. Poco żałować tego, co się nie zedrze? Lepiej wszystko wyeksploatować. Zawsze tak było: handlowali własnemi żonami, podstawiali je innym w celach politycznych..."

Umiejętność operowania obserwacjami psychologicznemi jest talentem konstrukcyjnym w powieściopisarstwie. Otóż to jest zaleta Wybranowskiego. Obydwie powieści są mocno psychologizowane, a niektóre opisy dochodzą do wirtuozerji. Niewiele jest równie prawdziwych i wspaniałych scen walki duchowej, jak obraz ścierania się strachu i ambicji w duszy Pawłowicza we „W połowie drogi".

Jeśli idzie o dalsze walory i braki konstrukcyjne Wybranowskiego, można zauważyć: budowę powieści dramatyczną, umiejętność koncentrowania akcji przy dość rażących czasem środkach upraszczania powieści skrótami, bogactwo fabuły, w dużej mierze dzięki aktualności powieści, dobrą charakterystykę osób, które bodaj czy nie wzięte są

z rzeczywistości, odrazę do opisowości, brak indywidualizacji stylu. Dużym błędem natomiast jest nierealność okoliczności — „zawrotnie pomyślne warunki życiowe". To jednak należy wyrozumieć. Jest to skrót potrzebny idejom powieści. Walka o byt bohaterów obciążać musi zawsze umysł i autora i czytelnika, a odciągać od nurtu głównego. Zaś powieści Wybranowskiego są książkami, w których bieg treści nie ma ani jednej przeszkody. Autorowi chodziło o to, aby czytelnik myślał tylko o intrydze naczelnej.

(Dok. nast.) JAN BIELATOWICZ

RADOŚĆ ZBLIŻENIA

(Ciąg dalszy)

DWORY i pałace są dość gęsto rozsypane po mieście, lecz nie narzucają się wzrokowi przechodnia, ukryte wśród przestronnych i cienistych podwórzy. Ich świetność należy zresztą do przeszłości, a stan obecny, zgodny z odmianą czasów i warunków, nie jest wcale kwitnący. Nie przeszkadza to im jednak nadawać miastu szczególnego tonu, którego próżnobyśmy szukali gdzieindziej. Przy ulicy Zawalnej, niedaleko od ludnego centrum, jest taki duży dwór wiejski, należący do Konsystorza Ewangelickiego. Niepozorny front uliczny z barokową bramą przynosi niespodziankę rozległego dziedzińca z trawnikami, kępami bzów i akacyj i z płaczącemi brzozami, a dziedziniec zamyka fasada właściwego pałacu z dwoma bocznemi skrzydłami, przysadzista, wygodna, typowo wiejska. Czujemy się tam przeniesieni gdzieś daleko od miasta, którego nie dopatrzeć ani śladu w tym gazonie z altaną, w tych ławach, opartych o drzewa, w tej ciszy i oddaleniu dostatniej, pańskiej siedziby. Nie jest wolny od tego charakteru nawet klasyczny pałac biskupi (obecnie rządowy) przy placu Napoleona, przebudowany w końcu XVIII w. dla biskupa Massalskiego przez Gucewicza. Nawet szorstkie ręce późniejszych rosyjskich opiekunów nie zdołały zmienić jego oblicza. Wygląd zewnętrzny, od placu, ma wprawdzie po miejsku okazały i sztywny, jak przystało na gmach „reprezentacyjny", mówiąc w dzisiejszej urzędowej polszczyźnie. Ale monumentalny i rozległy jego dziedziniec wewnętrzny, półkolisto obrzeżony kolumnowemi portykami, już przypomina wiejską przestronność magnackiego pałacu, a wrażenie to jeszcze potęgują wspaniałe drzewa, stanowiące tło kolumnady parkowej.

Łatwo jest wogóle w tej okolicy zapomnieć o mieście, choć to jego punkt środkowy, choć opodal wznoszą się wieże kwartału uniwersyteckiego, a kolos Świętojański góruje nad nim, jak wenecka *Campanila*. Dość jest pójść wzdłuż pałacowego parkanu i wstąpić na placyk kościoła Bonifratrów lub na przyległą ulicę. Klony pałacu biskupiego, skwer przy skromnym, zupełnie wiejskim kościołku nadają temu zakątkowi tyle spokojnego uroku, że kroki przechodnia same zwalniają tempa, a oko znajduje wśród drzew miły odpoczynek. Przy tej sposobności drzewom wileńskim należy się osobna pochwała. Rosną one wszędzie potrochu, nietylko w planowych alejach i skupieniach, ale i przygodnie, niewiadomo dlaczego, jako przypadkowe wydarzenia nieporządkowanego miasteczka. Te są najmilsze i mają najwięcej wyrazu. A że rosną oddawna i należą nieraz do tradycji kilku pokoleń, więc mają wielu cichych zwolenników i przyjaciół, zanim ich nie sprzątnie gorliwa ręka opiekunów samorządowych lub prywatnych. Któż nie znał w ciągu długich lat pokręconej i żałośnie płaczącej brzozy przy kapliczce kościoła Świętej Katarzyny, dorodnego kasztana i topoli obok czworogrannej dzwonnicy u Bazyljanów albo starych topoli na górze Trzykrzyskiej, tak wyrazistych w sylwecie i miłych dla oka każdego wilnianina. Tamte znikły z zachowaniem *incognito*, te ostatnie ścięto oficjalnie, rzekomo dla odsłonięcia widoku na Trzy Krzyże. Jeszcze dzisiaj jedna z sióstr tych topoli pyszni się pośrodku chodnika przy placu Orzeszkowej i kolumną wspaniałego pnia bierze udział w towarzyskim natłoku ulicy. A chociaż stanowi prawdziwą ozdobę chodnika i placu, już jest podobno skazana na zagładę z chwilą, gdy na ulicy stanie niefortunny pomnik Mickiewicza. Tylko zresztą na głównych ulicach drzewa są traktowane po macoszemu i wycinane lub dręczone fryzjerskiem strzyżeniem. Reszta jest wolna od mundurowego regulaminu, i rośnie, jak sama chce, a tych drzew jest mnóstwo, rozsypanych po podwórzach, ogrodach, zaułkach i drogach przedmieści. I jakie drzewa! Kędzierzawe brzozy i sutułowate wierzby, schorzałe staruszki; potężnie rozgałęzione topole nadwiślańskie, jakby przesadzone z jakiegoś dworskiego wjazdu; kuliste, zwarte kasztany i smukłe, wysokopienne jesiony o misternie rzeźbionych koronach; masywne klony, szczególnie umiłowane i liczne, szumne sosny i jodły — wszystko samorosłe, parafjańsko zdziczałe i dlatego takie wymowne. Nie znać na nich przymusu kamiennej ciasnoty wielkomiejskiej, żałującej im każdej piędzi gruntu, rosną tu swobodnie i gałęzisto, rozpierają się szeroko, gną się pod wichrem lub stawiają mu czoło, igrają ze słońcem i deszczem i całem swojem istnieniem mówią o rodzimej wsi, z której tu przybyły wraz z wiejskim człowiekiem i obyczajem.

Próżnoby się kusić o wyliczenie wszystkich okazalszych i skromniejszych „dworów" wileńskiego „grodu", który powinienby stanowić ich antytezę, a zamiast tego tak dobrze z niemi harmonizuje. Zauważmy tylko, że naprzykład ulica Mostowa jest w całej swej rozciągłości mieszaniną miasteczka i dworu. Żadne jej podwórko nie zdałoby egzaminu z municypalnego wykształcenia przy swoich poczciwych domkach, warcholskich drzewach i zapuszczonych murawach. Zato klauzura seminaryjna Świętego Jerzego naśladuje wiszące ogrody Popowszczyzny swemi piętrowemi tarasami, ma wewnątrz prawdziwy sad owocowy i nęci świętobliwą powagą i ciszą, a kompleks domów rodziny Łęskich zajmuje kwartał pomiędzy trzema ulicami (Mostową, Orzeszkowej i Wileńską) i darzy tę ostatnią cienistym szpalerem, zawieszonym wzdłuż muru przez pół ulicy. Gdzieindziej byłoby to wszystko wyrąbane i zastąpione wielopiętrowym drapaczem, a w cichem Wilnie żyje spokojnie, cieszy wzrok przechodnia i jest żywym obrazem

i przypomnieniem wsi — w czasach, gdy same dwory wiejskie marnieją i niszczeją. W śródmieściu Wilna możemy pójść na chybił—trafił, gdzie oczy poniosą — wszędzie wkońcu natkniemy się na takie bratnie echa. Przy ulicy Zamkowej przynęci podwórze każdego domu (a wszystkie prawie należą do Kapituły), bo ich stare, szanowne mury, okryte patyną czasu i zielonością, nasuwają myśl o ludziach i sprawach niedzisiejszych. A gdy przy tej pięknej ulicy, niezmienionej od stu lat, skończą się domy kościelne, to zaczynają się uniwersyteckie, obsiadające ze wszech stron gotycki ogrom Świętego Jana. Jeden z najpiękniejszych dziedzińców pałacowych jest w posesji Nr. 24, nawprost apsydy kościelnej. Zbudowany w XVII wieku, gmach ten mieścił w wieku XIX Kolegjum medyczne Uniwersytetu i służył za mieszkanie profesorowi Becu, ojczymowi Juljusza Słowackiego. Obecnie to samo mieszkanie należy do profesora Ferdynanda Ruszczyca, twórcy Wydziału Sztuki na Uniwersytecie Stefana Batorego i trzeba przyznać, że ten odkrywca i prawodawca wileńskiego piękna nie mógł wybrać siedziby godniejszej i bardziej charakterystycznej. Przestronny dziedziniec zajmuje znów cały kwartał pomiędzy zaułkami Świętomichalskim i Literackim, a zapełnia go czworobok kasztanów nie o wiele młodszych od epoki Mickiewicza i Słowackiego. Gałęzie kasztanów zaglądają w okna Ruszczyca, a z głębi podwórza, ponad obramieniem drzew widać rzeźbiony fronton kościoła Świętego Jana i skrzydlate anioły, przysiadłe na wolutach szczytu. Ten uwieńczony aniołami szczyt wieńczy znowu kosztanowe kopuły i stanowi tu jedyny ślad miasta. Za bramą tętni zgiełkliwa ulica, ale tu w Ruszczycowym dworze grube mury tłumią jej odgłosy i dają ciszy rozrastać się aż do spokoju wiejskiej samotni. Wzrokowi, który napotyka popiersie Słowackiego na ścianie pomiędzy oknami, dotrzyma kroku myśl, wspominająca dawne czasy i zagłębiająca się z pietyzmem w ich wielkie dzieła i dusze. Przecież to tu, naprzeciwko — u Świętego Jana, odbyła się w XVII wieku w obecności królewskiej doktoryzacja poety Macieja Sarbiewskiego. Tu podwórze deptały stopy Jundziłła, Śniadeckich i innych luminarzy nauki wileńskiej... W albumie Wilczyńskiego jest sztych, przedstawiający Jędrzeja Śniadeckiego w tem samem podwórzu, na tle kościoła, a w głębi widać tę samą bramę, którędy dzisiaj idzie się do Ruszczyca... Sarbiewski, Słowacki, Jundziłł, Śniadecki, Ruszczyc... jako dostojnie szeregują się te imiona i jak wymownie świadczą o niespożytych mocach miasta i ziemi, o niegasnącem nigdy ognisku ducha...

A przez ulicę stoi kościół, którego szczyty wyglądały z nad kasztanów dziedzińca. W moich pejzażowych impresjach nie kuszę się o opisywanie architektury Wilna, ale muszę uczynić wyjątek dla tej najwznioślejszej świątyni wileńskiej, której zewnętrzność jest równie piękna, jak wnętrze i łączy surową niebotyczność gotyku z wyszukanym i rozrzutnym przepychem barokowym. Od ulicy Zamkowej — to olbrzymia gładka ściana, mająca prostotę i wielkość skalnego złomu górskiego. Ściemniały krucyfiks w zdobnem obramowaniu, nad nim dwa okna witrażowe, wąskie i długie, a dalej wyżyna, podniosłość, wzlot, za którym nie nadąży oko w ciasnej uliczce. Tylko z oddali można widzieć i podziwiać lekkość i wytworność zwieńczenia fasady, giętą falistość gzymsów i te aniołki z trzepotliwemi skrzydłami jaskółek, i ten wzorzysty krzyż, roztaczający nad niemi swą promienistą koronkowość...[1]) Kościół, widziany z drugiej strony, z wolnego odstępu krużgankowego czworoboku uniwersyteckiego, — to już zupełny rozbrat z gotyckim porządkiem, to radosny wybuch barokowej bujności, utemperowanej finezją rokoka, wartki rytm kolumnowych szeregów, nawarstwionych coraz wyżej i stromiej, rozkrzewienie wspaniałego relikwiarza, piętrzącego się podniebną apoteozą. A w ukośnych promieniach południowego słońca ta fasada świętojańska — to symfonja światła. Słońce przesuwa się po pilastrach, wnękach i ornamentach złocistą pieszczotą, podkreśla ich bogactwo plastyczne i wygrywa na nich, jak na strunach świetliste melodje, które chłonie się wzniesieniem oczu i duszy. Szczerozłote organy sięgają nieba przepysznie rytmicznym ogromem, a gra na nich słońce...

Wchodzimy do środka i odrazu uderza nas kontrast między przestronną jasnością wnętrza, wspartego na prostych i potężnych filarach, a półmrokiem wielkiego ołtarza, majaczącego zdala tajemniczem obłękitnieniem. To nie jest właściwie ołtarz — to tłumny splot dziesięciu wspaniałych ołtarzy zaludnia apsydę i rozwija się niewymowną wielokształtnością od posadzki do sklepień poprzez wszystkie trzy nawy. W zmierzchu modrym i iskrzystym wznoszą się, zwierają i rozsypują zawieruchą plastycznego rozkwitu więzie kolumn, zaploty głowic, wygięcia gzymsów, przeguby przęseł łącznych, kupią się po zagłębieniach gromady posągów, przelatują chmary aniołków ku promiennej galerji stropu. A za niemi witraże prześwietlają szafirowo - złocistym nimbem ten oszalały świat lotnych form i zjaw, wzlatujący ku niebu w wibrowaniu barwnych refleksów, w porywie ekstatycznego uniesienia. Ale w tym wybuchu niemasz chaosu: rządzi nim harmonijna równowaga całokształtu, która prowadzi od szczytowego emporjum stppniowaną rztmiką bocznych skrzydeł ołtarzowych i spływa na obie strony pilastrami ścian i łukami schodów, jak szumna i świetna powódź brył, barw i blasków. Spójrzmy jeszcze z bocznej nawy wgórę. Od masywnych filarów, kręto powyginanych u podstaw, wzrok posuwa się gradacją ołtarzowych rozgałęzień, wstępuje coraz wyżej wzniesieniem ścian, strzelistością kolumn, podrzutem obramień i ornamentów. Wyrastają wiązania, gzymsy, zwieńczenia, pną się wgórę, wzlatują rojowiska form coraz błękitniejszych od witraży, barwiących ostrołuki sklepień, a nad szczytami ołtarzy, nad krawędziami kapiteli fruwają anielskie zastępy w mistycznem wniebowzięciu. Ale dołem modra jasność mierzchnie, łamią się i mieszają kolory z tajemniczym półcieniem, w który modlitewnie zapada myśl, olśniona wspaniałością, porwana wzlotem tego nieziemskiego świata, i zatopiona w jego konteplacji.

Niechętnie opuszcza się mroczną niszę obok konfesjonału, skąd można odbyć taką wędrówkę do przedsionka niebios. Jednakże musimy wrócić do wędrówki ziemskiej po szlaku antokolskim. I tu, nieledwie od samej katedry będzie nam towarzyszył nastrój kojącej ciszy. Na miejscu znie-

---

[1]) Miasto przyzwyczaja ludzi do kierowania wzroku w dół, ku chodnikowi i wystawom sklepowym, zmusza do chodzenia z głową spuszczoną, jak żerujące zwierzęta. Ale Wilno uczy wznosić głowę wysoko i patrzeć w niebo.

sionego na początku XIX wieku Królewskiego Zamku Dolnego kwitnąca zieloność otacza wokoło górę Zamkową, olbrzymim wypukłym szmaragdem wprawioną w turkusową kolję Wilenki. Ta góra jest koronnym klejnotem w wileńskim skarbcu pejzażowym, jest jego ozdobą i chlubą. Gdzie które miasto poszczyci się w samem sercu taką górą Zamkową? Górą wysoką, foremnie stożkowatą, całą zarosłą kulistym starodrzewiem, obmotaną drogami i widokami, z których każdy jest modrą niespodzianką, głębokiem westchnieniem w nieskończoną dal, ziszczonem marzeniem o ziemskim raju? Górą — królewskim tronem, skąd widać całą litewską stolicę wokoło wraz z bogactwem jej architektury, z przepychem jej przyrody, ze smugami rzek, z plastyczną rzeźbą powierzchni, z kolistym przestworem sinych widnokręgów? Górą — strażniczym symbolem dziejowego majestatu, z resztkami wielkoksiążęcego zamczyska, z prochami obrońców i ofiar wrażnych najazdów, z namogilnym krzyżem Zygmunta Sierakowskiego, oplecionym cierniowym wieńcem męczeńskiej sławy? Górą — prześlicznym zielonym labiryntem, sklepionym liściastym sufitem, zbudowanym z żywych ścian drzewnych, zdobnym błękitnemi szybami nieba i opalowemi witrażami przymglonych widoków?...

Na tej górze czuje się w całej pełni dobroczynną hojność wileńskiej przyrody. Otoczyła ona miasto wzgórzami, by na nich ufundować okrężny amfiteatr dla podziwiania patosu świątyń i liryki pejzażu śródmiejskiego. Ale tych punków widowiskowych było jej zamało: zapragnęła przewyższyć rozrzutnościu siebie samą i, rozmiłowana w swej urodzie, kazała górom wejść w środek miasta, stawić się nad łożyskiem rzek i wędrować z niemi nierozłącznie w malowniczym pochodzie aż do wschodnich bram miasta. Kazała górzystym łańcuchem krasić szarzyznę murów i jednocześnie służyć za widownię do ogarnięcia szerokich perspektyw doliny wileńskiej, do nieustannego obcowania z jej powabami. Zatroszczyła się o to, by oko widza miało z każdego miejsca ten dystans uwielbienia, który podnieca i wzrusza, który z widza czyni wielbiciela i wyznawcę, a sercu nie daje spocząć w równowadze doznań spokojnych, lecz zmusza je wciąż uderzać przyśpieszonem tempem radości i entuzjazmu.

Już sama jedna góra Zamkowa mogłaby starczyć za wszystkie przyrodzone walory innych miast, a przecież, wstępując na nią, widzimy wnet sąsiednią Trzykrzyską, nęcącą masywnym, rozłożystym ogromem, uwieńczoną topolami, jaśniejącą trójramienną krzyżową zjawą! A za nią wypływać zacznie wiązanką gór i wąwozów Altarja, wrośnięta w Popowszczyznę, i całą drogę Antokolską, aż do Świętego Piotra i Pawła i dalej jeszcze, będą obrzeżały nieustannym splendorem zielone pasma górskie i błękitna wstęga Wilji, dwa nadobne szlaki monarszego płaszcza stolicy: pasmo falistych pagórków i ciąg dworków i ogrodów, staczających się do łożyska rzeki. Alejami ulicy podadzą sobie one ręce ponad naszemi głowami i będą sobie przygwarzały wraz z powiewami wiatru przeciągłym poszeptem, podobnym do mowy wileńskiego ludu, aż nim nie rozrzewnią, nie oszołomią, nie przygwożdżą swem pięknem biednego wędrowca. Znaj, nędzarzu, czem jest Wilno! Wypatrz oczy, strać rozum, skonaj z zachwytu!...

(Dok. nast.) JAN BUŁHAK

WSPOMNIENIE O POECIE

GDY śmierć niespodziewana zabiera bliskiego człowieka, ma się wrażenie, że ziemia nie zgryzie go całego, dopóki w jej wilgotne żuchwy nie pójdą i ci wszyscy, w których żyje pamięć o nim.

Wspomnienia mają swoją autonomję: nadają znaczenie faktom bez znaczenia, a degradują nieraz to, co wybijało się na pierwszy plan wedle mniemania ogólnego.

Te myśli nasunęła mi niespodziewana śmierć ś. p. Wiktora Popławskiego [1]) dnia 27.III b. r. Posiadał on indywidualność niezwykle wszechstronną. Gdyby wśród jego czytelników i przyjaciół urządzić ankietę: kim był? — głosy podzieliłyby się fantastycznie. Uważanoby go za teoretyka medycyny, zakonspirowanego w publicyście politycznym, — za religjologa, pedagoga, muzykologa, — wreszcie za brawurowego fejletonistę, żonglującego ociężałemi ideologjami.

Natomiast mało orzekłoby, że był poetą. A tutaj właśnie tkwi prawda i leży klucz do zrozumienia bogatej — aż niepokojącej bogactwem—wszechstronnej jego natury. Ten rasowy poeta żył jednocześnie na kilku poziomach, bo marzenia miały dla niego wagę czynów, a postępki niekiedy lekceważył, niby urojenia. Wskutek tego posiadał kilka rzeczywistości współrzędnych, niezawsze do pary z jego teraźniejszością bieżącą.

Słysząc z jaką lekkością Wiktor przenosił się z tematu na temat, jak śmiało przebywał — karkołomnym lotem myślowym — problemy przepaściste, albo niezgłębione, — żartowałem, że chyba ma u pantofli skrzydła z sandałów Merkurego. On na to z pasją (a był to djalektyk wyborny!) wyrzekał się Olimpu, Parnasu, zwłaszcza zaś Muz. Jednak, kiedy przeglądam jego poezje, które przed laty mi powierzył, widzę, że nie zwietrzały z czasem,—a wiem, że tylko prawda konserwuje wiersze.

Przeczuciem niemal proroczem brzmi naprzykład taka zwrotka:

„Smutku pochmurnych ranków i dżdżystych południ,
Tragedjo lat, przeżyta w jednej chwili—płaczem...
Ty, coś mógł być kolumną, bijącą najcudniej
W stropy niebios, a jesteś westchnieniem tułaczem"...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Pamiętam jedno popołudnie, przeplatane siąpiącym deszczem, gdy młody głos — małoznanego mi jeszcze Wiktora zatrzymał mię w Alejach Jerozolimskich. Odnowiliśmy naszą lwowską znajomość, która zmieniła się w zażyłość, a następnie w przyjaźń.

Już wtenczas Wiktor był autorem tomiku wierszy p. t. „Lato". Nigdy nie wydał tych swoich

[1]) Ś. p. Wiktor Popławski (1889 — 1935) był synem znakomitego publicysty, Jana Ludwika Popławskiego, zmarłego w Warszawie 1908 r. — Red.

pierwocin słonecznych,—pachnących lipcem i pierwszą miłością — bo były pierwocinami. Wybujały samokrytycyzm estetyczny kazał je zniszczyć autorowi, tak jak później radził mu więzić w szufladach, — mimo protestu przyjaciół, — poezje wyższej wartości. Oto urywek jednej z nich p. t. „Zwiastowanie”.

„... Me słowa światło ziemi niosą,
Są kwiatem jej i śpiewem.
Ja świtem jestem, ranną rosą,
Ale Ty jesteś drzewem...
Oto się wkrótce cud dokona,
Słowo się stanie ciałem.
O Marjo, bądź mi pozdrowiona,
Niedarmo przyleciałem.
O Marjo, Arko Dawidowa,
Nie wiem, jak los Twój zwie się,
Gubią się w Tobie moje słowa,
Jak wiatr się gubi w lesie.
Lecz głos mój z niebem Cię jednoczy,
Jam gorejącym krzewem...
Słuchaj: Bóg spojrzał w moje oczy,
Ale Ty jesteś drzewem”.

Trudno o prostsze oddanie w ludzkich słowach — niewysłowionej chwili Zwiastowania tajemnic, niezgłębionych nawet dla anioła. Poeta ujął ten cud trzepotem skrzydlatych wyrazów, migotem uczuć nieuchwytnych a zachwycających, przytem nie zamknął ich w sztywny sens, ale kazał im przelewać się fugą.

Poezja nie przesłaniała mu jednak codzienności; przeciwnie, był jej obserwatorem bystrym. W Wyszkowie, gdzie mieszkał podczas okupacji niemieckiej jako nauczyciel, powstały jego „kartki” — nawpół pamiętniki, nawpół poematy prozą, pełne błysków humoru. Oto przykład:

„Klasa. Przez otwarte okna dolatuje gwar orjentalny, plamy słońca pełzają po brudnej podłodze. Czterdzieści i sześć par różnokolorowych paciorek, umieszczonych w makówkach, spogląda nieufnie ku twej wyniosłości. Jedna z makówek stęka: — Chińczycy zajmują się piciem, piciem herbaty... są oni z warkoczami, jedzą nieświeże jajka, oni palą opjum...

...Słoneczne plamy pełzną powoli w głąb klasy.

— Proszę pana nauczyciela,—ludzie mówią, że ruski już jest w lesie!

— Mylisz się przyjacielu — o, jak bardzo się mylisz! W lesie jest wojsko demonów, których król Semasotech prowadzi wojnę z królem czarnych arabów, Musawassą. o pierścień błękitny króla Cheth.

Chińczycy, Chińczycy, — stęka dalej makówka, — są poganie. Modlą się oni do smoka i do bożka Budy. Najwięcej w Tybecie, gdzie jest chiński papież. On jest małe dziecko, jego nikt nie widział.

Ożywiasz się. Chłodny, świeży oddech gór. Na krawędzi czerwonej skały zawisł klasztor Such-Zen. Wykrzywione jego dachy są złote. Pan, najdoskonalszy Pan, jest tu czczony. Wąskie usta mnichów szepczą odwieczne wersety, a żółte, pomarszczone twarze kiwają się w takt klekotu paciorek...

Modlą się Chińczycy na młynku!—z triumfem wykrzykuje makówka”.

Harmonizuje z tem wnętrzem małomiejskiej uczelni inna — również autentyczna — migawka z Wyszkowa:

„*Sabbath*... Z trzaskiem zamykają się żaluzje sklepów... Z koszlawych domków wysuwają się długopołe postacie, niosące pod pachą rytualne zawiniątka. Obok wyniosłych, osiwiałych w boju geszeftów — mężów brodatych, kroczą siedmioletni uczeni, dźwigając olbrzymie, w skórę oprawne foljały... Duży, różowy budynek pochłania ich wszystkich. W wysokich jego oknach migoce światło łojówek; poruszają się na ich tle olbrzymie cienie, kołysząc się miarowo wtył i naprzód...

Gromadka młodych tubylców, z nieodzownemi palcami w nosach, wspina się na gzymsy okien, głośno czyniąc światłe komentarze.

O, gromadko moja! Cały poranek i południe zmarnowałaś w szkole, ucząc się rzeczy, — jeśli nie z tego świata, to przynajmniej nie z tego miasteczka. Zaś owi młodzi — z foljałami — uczeni czytali przez ten czas budujące traktaty o istocie ducha. Po południu graliście w *football*'a, paliliście lichy tytoń, owinięty w strzępy antysemickiej gazety, zaś owi młodzi uczeni nieustannie ćwiczyli się w mądrości bożej... A jednak, gromadko moja, praktycznie wychowana, gdy lat dojdziesz męskich, — wodzić cię będzie za nos pierwszy lepszy z tych filozofów w tałesie...”

Sięgam po inną „kartkę”, — tytuł: „Boczna droga”.

„Był czas, gdyś prowadziła do lasu... Dziś, drogo moja, nie prowadzisz do nikąd. Za dotknięciem różdżki (och, lepiej zwać cię różdżką, niż toporem) szybko znikał las... Stare dęby i długie, bez końca długie, chojary jechały poważnie do modrej przystani; towarzyszyły im całe rodziny drzew młodych i płochych. Las odchodził. A nad rzeką oczekiwały go delegacje obu narodów, zamieszkujących naszą ziemię. Chłopi na pożegnanie podejmowali drzewiny pod kolana i pomagali im wsiadać do rzeki, zaś uczeni talmudyści opisywali te smutne wydarzenia w małych, zatłuszczonych książeczkach...”

Gdyby ktoś chciał z tych szkiców odtworzyć sobie portret psychiczny autora, toby go napewno sfałszował. Wiktor Popławski, — jak każdy rasowy Polak, — był dwoisty, lubił „duszę anielską” mieścić w „czerepie rubasznym”. Miał prawdziwie szlachecki humor, apetyt i liberalizm. Te wszystkie rzeczy doprowadzał przy werwie aż do paradoksalnych rozmiarów. Zręczność sofisty służyła mu przy stole do wyszydzania kanonów medycyny, której w dnie postne wierzył ślepo.

Taksamo rozsmakowywał się pełną gębą w utopjach. Brał wtenczas w ryzy i tępił naumyślnie wrodzony swój, — ostrzejszy od brzytwy, — krytycyzm. Potem, oczywiście, następowały rekolekcje filozoficzne.

Subtelność duszy przy czujności instynktów otwierała mu wszystkie dziedziny piśmiennictwa. Miał dar podchwytywania rozmów charakterystycznych — jak nikt i umiał je powtórzyć z precyzją aktora. Zdawało się, że wystarczy mu palcem ruszyć, żeby komedję polską zepchnąć z martwego punktu na tory nowe, a związane uczuciowo z przeszłością.

Nie zrobił tego. Coś mu kneblowało usta, ilekroć był sam „przy warsztacie”. Zresztą uciekał zaraz do muzyki i jej oddawał swój czas — pod względem uzewnętrznień twórczych — bezpłodnie... Bo choć posiadał absolutny słuch, lecz nie dbał konsekwentnie o technikę wirtuoza.

Mam przekonanie (chociaż to brzmi jak paradoks), że wyrobiłby się na wielkiego poetę raczej w epoce poezji śpiewanej, niż pisanej, — kiedy to skald, czy bard, bywał niezbędną ozdobą uczt i bitew, i tylko przy nich tworzył.

Wiktor Popławski dużo myślał o śmierci i oswajał się z nią. Niechaj wiersz jego o tem zakończy to krótkie wspomnienie o Zmarłym:

„Jesteś jak sen. — Rozmawiam z tobą nieraz nocą.
Rozumiemy się dobrze. — Wiem, nie jesteś zła;
Skrzydła twoje są ciche, oczy nie migocą;
Jesteś szara, podłużna, niby wielka ćma.
Czasem się ciebie boję,—lecz tylko przez chwilę...
Wybacz mi: — trochę straszno lecieć z tobą już
Tam, dokąd nieopatrznie wysłało się tyle
Książek swoich przyjaciół i dobrych ich dusz...
Uspokajasz mię wtedy, bym się nadaremno
Nie bał... (Lubię twój ładny wyrazisty gest!)
Mówisz, że w chwilach szczęścia zawsze jesteś ze mną...
A zabierzesz mię wtedy, gdy—zwątpię żeś jest”.

STANISŁAW MIŁASZEWSKI

NA WIDOWNI

O gimnazjum polskiem w Bytomiu. — Wspomnienia z Wrocławia i Opola. — Wymowa nazwisk i grobowców. — Polski język i brunatna koszula. — Trwający wciąż proces dziejowy.

ODEBRANIE praw publiczności gimnazjum polskiemu w Bytomiu, jedynej polskiej szkole średniej na terytorjum państwa niemieckiego — przypomniało, w sposób szczególnie jaskrawy, zagadnienie losu rodaków naszych, pozostałych za zachodnim kordonem. Przed kilku dniami (28.III r. b.) Klub Narodowy w sejmie zgłosił w tej sprawie interpelację do ministra spraw zagranicznych, słusznie wskazując, iż postępowanie władz niemieckich jest jawnie sprzeczne z postanowieniami umowy, zawartej z Polską dnia 15 maja 1922 roku. Społeczeństwo polskie domaga się wyjaśnień. Dyplomacja nie może dłużej trwać w bezczynności.

Żywo wracają mi wspomnienia z przed kilku miesięcy, kiedy, odbywszy krótką wycieczkę do Niemiec, byłem — w przejeździe — na tej właśnie śląskiej ziemi, od tylu wieków już germanizowanej, odłączonej... Zobaczyłem w tym czasie Wrocław, Opole... Ileż to uczuć budzą odwiedziny takie w Polaku: goryczy, żalu i—pomimo wszystko—jakiejś nadziei...

*

„...Byłem na narodu mogile“ — ustawicznie, uparcie powracały mi w myśli słowa Rapsoda z „Legjonu" Wyspiańskiego, gdy przechadzałem się po wielkomiejskich ulicach Wrocławia, równie niemieckich, równie „hitlerowskich“ jak ulice Monachjum albo Berlina. Słyszałem dookoła niemiecką mowę, wszędzie, w każdym drobiazgu dostrzegałem niemiecki styl życia, niemieckie zwyczaje, a jednak, kiedy rozejrzałem się po szyldach sklepów, zacząłem czytać spisy lokatorów w sieniach domów, stwierdziłem fakt, mogący wprawić w osłupienie: toż nazwisk polskich, zarówno szlacheckich jak ludowych, odsetek tutaj jest nie mniejszy chyba niż w Warszawie!

Mimowoli nasuwała się refleksja, pełna smutku (a może i otuchy?): jakże trudno zmieniają swoje siedziby ludzie! Przesuwają się granice wiar, języków, cywilizacyj, fale mody czy wpływów kulturalnych odmieniają wygląd zewnętrzny krajów, a człowiek tem wydaje się być różny od przenoszonych z miejsca na miejsce przedmiotów, że jest podległy prawu ciążenia psychicznego, które mu każe powracać do punktu skąd wyszedł. Tutaj, nad Odrą, której brodu bronił niegdyś Krzywousty, ludzie zmienili mowę polską na niemczyznę, zmienili zgruntu ideały, nienawiści i przywiązania, miłują to, co odrzucali ze wstrętem ich dziadowie, pogardzają tem, co tamci kochali—lecz po dawnemu żyją przecież: Witkowsky czy Dombrowsky, Trzetziak albo Kobylla, zlekka najwyżej przerobiwszy ortografję swoich podpisów.

A kiedy zmilkną nazwiska mieszkańców, przemawiają mury i groby. Oto wśród nowoczesnych domów śródmiejskiej ulicy widoczny zdala, stary, ciemnoczerwony kościół ceglany, pod jakże dziwnem w tem niemieckiem mieście wezwaniem: najdawniejszego patrona Polski, świętego Wojciecha! Ufundował tę świątynię, jak poucza przewodnik, *„der Graf Peter Wlast“*, ale cóżto za relikwje świętego umieszczono z taką czcią pobożną w alabastrowym sarkofagu na ołtarzu? To *„hl. Czeslaus“*—św. Czesław, rodzony brat świętego Jacka Odrowąża, którego grób, niemniejszym kultem otoczony, znajduje się w kościele dominikańskim w Krakowie. Czesław Odrowąż, również dominikanin, który — jak zaświadczają jego żywotopisarze—kiedy Tatarzy napadali na Wrocław, „noc spędził na modlitwie, a nazajutrz w wielkim blasku ukazał się na murach miasta: wówczas głownie ogniste, lecące z nieba, poraziły wroga“.

Chciałoby się mówić o tylu innych rzeczach: o tympanonie z XII stulecia, przedstawiającym Świętosława Własta wraz z jego matką, kiedy fundują kościół Najświętszej Pannie na Piaskach, i o Właстowym także, wielkim, romańskim portalu, dziś stanowiącym ozdobę kościoła św. Magdaleny. Chciałoby się mówić o najstarszym polskim orle herbowym, jaki zachował się na nagrobku Henryka Probusa w kościele Świętokrzyskim, o katedrze i jej pomnikach—nazbyt długa okazałaby się lista pamiątek...

Wspomnę o jednej, która przejęła mnie najgłębiej: kamienny, polichromowany grobowiec, odosobniony, w samym środku prezbiterjum kościoła św. Wincentego; tu spoczywa książę Henryk Pobożny, poległy pod Lignicą... Było właśnie nabożeństwo niedzielne, Niemiec-ksiądz po niemiecku głosił z ambony słowo Boże, ale mnie, kiedym stał w tłumie wiernych przy sarkofagu, w oczach majaczył się obraz innego nabożeństwa, z przed lat prawie siedmiuset, tak jak ukazał go w swej tragicznej, przeraźliwej wizji Matejko: ciemna, czarna nieomal, nawa świątyni, katafalki pobitych w boju lignickim rycerzy, żółty blask świec, padający na zawieszone u trumien tarcze, a przy ołtarzu, rozpaczliwie wgórę wzniesione ręce kapłańskie...

*

W Opolu — takie przynajmniej odnosi się pierwsze wrażenie — stopień nasilenia niemczyzny jest jeszcze wyższy, aż jakieś sztuczne to, przesadne, jaskrawsze, aniżeli w rdzennych prowincjach Rzeszy. Ze wszystkich stron wrzeszczą afisze i transparenty propagandowe, raz po raz ogląda się większe lub mniejsze wizerunki: Hitlera, Hindenburga, Goebbelsa. Słychać dźwięki *„Horst Wessel-Lied“*, dookoła czernią się znaki swastyki.

Zapędziwszy się w podmiejską dzielnicę, z trudem szukałem kierunku, nareszcie zagadnąłem przechodzącego „szturmowca", pytając, jak iść na dworzec kolejowy. Dwudziestoletni chłopak, w brunatnym mundurze, ozdobionym jakimś szlifem podoficerskim, zasalutował uprzejmie i życzliwie: „Mam właśnie popołudniowy urlop w koszarach, najlepiej sam pana tam zaprowadzę". Po drodze wypytywałem go o zabytki miasta, o nastroje, o życie młodzieży. — „...Ja też umiem..." — odzywa się najniespodziewaniej po polsku, dowiedziawszy się, skąd jestem rodem, i w dalszym ciągu porozumiewamy się już tylko tym językiem. Mówi płynnie, czasami wtrącając jakiś wyraz niemiecki, niekiedy znów krasząc swoje słowa jakimś bezwiednym, przechowanym w gwarze śląskiej archaizmem. „Chodźmy przez *Piastenstrasse*" — proponuje — „to ładna ulica". A po chwili: „Tam stary zamek, *Piastenschloss*, nad samym brzegiem Odry..."

Czy to przypadek tylko, to spotkanie ze znającym język polski szturmowcem, przypadek na

nic nie wskazujący i nie znamienny? Oto na dworcu kolejowym dwaj młodzi robotnicy poprawiają coś w urządzeniu elektrycznem, gwarząc z sobą przytem najczystszą niemczyzną. Nagle coś nie powiodło im się w robocie i cały peron na kilka minut pogrążył się w ciemnościach. „Zagasło” — mruczy jeden do drugiego po polsku, dodając nie niemieckie bynajmniej przekleństwo. A w przedziale wagonu trzeciej klasy, gdy przejeżdżałem z Opola do Bytomia, wszyscy troje moi współtowarzysze prowadzili ze mną polską pogawędkę: stara włościanka, gdzieś z okolic Zabrza, która wracała z paromiesięcznych odwiedzin u synowej, jakiś kupiec, czy rzemieślnik z Gliwic, no i żydek, podróżujący agent handlowy, który, oczywiście, umie wszystkie języki...

*

Na Śląsku, poza kordonem granicznym, ciągle jeszcze odbywają się procesy dziejowe, w których lud stanowi czynnik niezmienny, a przesuwają się, w tym czy innym kierunku, zasięgi mowy, przekonań, obyczaju. Czyż my tu w kraju, my z pozostałych dzielnic Polski, w niczem już więcej nie potrafimy oddziałać na bieg tych przemian?

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

ZJEDNOCZESNEM WIDOWISKIEM przepisywania w Sejmie prawa własności państwa z narodu na wszystkich obywateli, przy gromkich słowach „Pierwszej brygady”, śpiewanej, jak mówią, szczególnie głośno przez konserwatystów, przedstawicieli wielkiego przemysłu i posła Wiślickiego, dokonywa się w kraju coraz wyraźniejszy proces rugowania żydów z pozycyj, które sobie wcale nierycerskim bojem zdobyli. Proces ten wchodzi w nowe stadjum zdecydowanej, męskiej i nieubłaganej walki, której najdobitniejszym przejawem jest Rada Miejska m. Łodzi, złożona z młodych elementów robotniczych, z mec. Kowalskim na czele.

Ażeby zrozumieć znaczenie tej fazy, należy cofnąć się nieco wstecz.

Przed wojną padło z szeregów demokratyczno-narodowych hasło bojkotu ekonomicznego żydów. Bojkot ten sprawił wprawdzie ludności żydowskiej spore cięgi, nie zniweczył jednakże jej potęgi gospodarczej. Główne jego znaczenie polegało na zwróceniu uwagi na niebezpieczeństwo żydowskie.

Wojna przerwała bieg akcji bojkotowej, inne bowiem sprawy zaprzątały wówczas umysły społeczeństwa.

Po wojnie hasło bojkotu ekonomicznego pada ponownie. Odnawia swoją działalność „Rozwój”, nikomu jednak jeszcze do głowy nie przychodzi, ażeby sprawę żydowską można było rozwiązać w drodze przymusu państwowego. Panowanie zasad demokracji wprowadza do Sejmu liczną grupę posłów żydowskich, których brak najprymitywniejszych nawet zasad przyzwoitości, tupet i arogancja wzmocniły reakcję antysemicką. Terenem walki stały się wyższe uczelnie, skąd poczęto bezpardonowo usuwać żydów, wpędzając ich do swoistego rodzaju ghetta. Odgłosy walk uniwersyteckich przedostały się poza krąg Rzeczypospolitej Akademickiej i targnęły mocno całem społeczeństwem. Ogarniają dzisiaj coraz szersze koła, z wyjątkiem oportunistycznej grupy, należącej do t. zw. „Sfer decydujących”. Czuje się wyraźnie, że rozwiązanie kwestji żydowskiej nie pójdzie drogą wyłącznego „bicia żydów po kieszeni” w stylu przedmajowego „Rozwoju”. Świadczy o tem narodowa łódzka Rada Miejska, skreślając wszelkie pozycje budżetowe, przeznaczone na instytucje żydowskie, uchwalając, że nagrodę literacką, naukową, względnie plastyczną może otrzymać wyłącznie Polak pochodzenia chrześcijańskiego i t. d. Wprawdzie komisarz rządowy p. Wojewódzki oświadcza, że uchwała ta nie zostanie zatwierdzona, ponieważ jest sprzeczna z duchem najnowszej redakcji ustawy konstytucyjnej, niemniej wola największego po stolicy środowiska miejskiego ma swoją wymowę.

ROZPOCZYNA SIĘ NOWA ERA w życiu Rzeczypospolitej. Podkreśla to wyraźnie zmiana gabinetu... kubek w kubek podobnego do poprzedniego z wyjątkiem osoby premjera, którym na miejsce prof. Kozłowskiego mianowany został pułk. Sławek. Ów — na samym początku czasów „Polski, która idzie” — ukłon w stronę starych zwyczajów parlamentarnych, w zestawieniu ze „zmienionym” zespołem ludzi, każe się domyślać, że era ta będzie nosiła wszelkie cechy okresu, który odczuwamy od lat dziewięciu. Zapewniają wprawdzie, iż „nowy” gabinet ma wszelkie cechy prowizorjum, że za trzy miesiące będą zmiany, że oświatą będzie prawdopodobnie kierował pułk. Kostek-Biernacki lub gen. Wieniawa-Długoszewski (niech się tylko upora z konkursem „Expressu”), że możliwe jest nawet, iż p. Rajchman ustąpi miejsca p. Kwiatkowskiemu...

Wszystko to jest, przyznajmy, mocno interesujące, niesłychanie ciekawe, ale w sferach „sfer”.

„Szary człowiek”, odsunięty od udziału w rządach państwem, ma czas na powolne przekłuwanie jeszcze jednej dziurki w pasie, który mu znowu wypadnie zacisnąć...

NAUKA i LITERATURA

HISTORJA O BILANSACH PRZEDSIĘBIORSTW PAŃSTWOWYCH

DYSKUSJE gospodarczo-ustrojowe są obecnie częstym tematem w polskiej publicystyce. Nic dziwnego — żyjemy przecież w okresie wielkich przeobrażeń, zarówno w Polsce, jak i w całym świecie. W dyskusjach owych zagadnieniem „szczytowem” bywa zwykle sprawa przyszłości ustroju i jego założeń, na tle ścierania się zasad wolnej i planowej (przymusowej) gospodarki.

Poza wyżej wskazaną i cokolwiek niebezpieczną (z punktu widzenia myślenia naukowego) sferą najbardziej dalekosiężnych rozważań, wyodrębniła się dziedzina dyskusyjno-polemiczna, znacznie już konkretniejsza, mniej nastawiona na przepowiadanie czy też określanie woluntarystyczne przyszłości, ale za to dokładniej ujmująca sprawy teraźniejsze. Problemem centralnym będzie tutaj zagadnienie polskiego etatyzmu, zagadnienie właściwych rozmiarów przedsiębiorczości publicznej i zasad polityki państwowej w tym zakresie. Rzecz jasna, nie potrzeba dodawać, jak dalece doniosłym będzie wpływ aktualnego ustosunkowania się jakościowego i ilościowego prywatnej i publicznej gospodarki dla rozwoju gospodarczego Polski. W tym sensie jest to nie-

wątpliwie czynnik, który zadecyduje o fizjognomji polskiego gospodarstwa narodowego w przyszłości.

Pomimo, że dyskusja nad problemem etatyzmu jest, jak już wspomnieliśmy, dość skonkretyzowana, tem nie mniej daleko jeszcze do tego stanu rzeczy, któryby uznać można za zadowalający. Zjawisko przedsiębiorczości publicznej w Polsce komplikuje się coraz bardziej, tak, iż niezależnie od takiego czy innego stanowiska politycznego, trudności orjentacji i należytego pokierowania tą dziedziną działalności państwa systematycznie wzrastają.

W tej sytuacji z radością należy powitać pracę p. Tadeusza Bernadzikiewicza p. t. „Wyniki bilansowe a rzeczywiste przedsiębiorstw państwowych w Polsce" (Tow. Wydawnicze Młodych Prawników i Ekonowistów, Warszawa, 1935, str. 113), która dyskusję nad etatyzmem ogromnie posuwa naprzód, przez źródłowe oświetlenie jednej z zasadniczych kwestyj, związanych z zagadnieniem rentowności gospodarki publicznej.

Omawiana książka, analizująca zjawisko bardzo szerokich odchyleń między bilansowemi (oficjalnemi) wynikami finansowemi przedsiębiorstw państwowych a ich wynikami rzeczywistemi, ma charakter niejako wstępny. Autor ograniczył się do omówienia „odchyleń" najbardziej typowych, określił ich źródła, tkwiące przeważnie w niewłaściwych lub wręcz niedopuszczalnych praktykach bilansowych, wskazał nadto na ogólne kierunki pożądanych reform w rachunkowości gospodarki publicznej. Natomiast pozostawił na boku sprawę obliczenia wyników rzeczywistych, lub poprawniej, wyników „przybliżonych do rzeczywistych". Pomimo tego, książka roi się od konkretnych przykładów „odchyleń", wydobytych z trudnych do opracowania materjałów Najwyższej Izby Kontroli Państwa. Pod tym względem nikt nie ośmieli się postawić autorowi zarzutu gołosłowności.

Książka, opatrzona przedmową prof. Adama Krzyżanowskiego, składa się z trzech rozdziałów. Rozdział pierwszy obejmuje część teoretyczną, dotyczącą istoty przedsiębiorstwa, problemu rentowności, cyfr oficjalnych i rzeczywistych w wynikach finansowych przedsiębiorstw, wreszcie sprawy zaciemniania i fałszowania bilansów. Uwagi powyższe mają zastosowanie do wszelkiej przedsiębiorczości wyższego typu organizacyjnego.

Rozdział drugi mieści z kolei ogólne uwagi o przedsiębiorstwach państwowych w Polsce, daje treściwą charakterystykę polskiego ustawodawstwa w zakresie przepisów rachunkowych oraz zasadnicze wiadomości o zamknięciach rachunkowych naszych przedsiębiorstw. W ten sposób autor przybliża czytelnika do istoty interesującego go problemu.

Punkt ciężkości pracy leży w rozdziale trzecim, który zawiera właściwą analizę zamknięć rachunkowych, przeprowadzoną wedle poszczególnych zagadnień, z wykazaniem najbardziej typowych odchyleń od wyników i cyfr rzeczywistych. Rozdział ten wyczerpuje właściwą część krytyczną pracy.

W zakończeniu autor wypowiada szereg uwag ogólnych, odpowiednio interesujących. Książkę uzupełnia obszerny spis literatury przedmiotu, polskiej i zagranicznej oraz spis źródeł cyfrowych

Pracy T. Bernadzikiewicza nie czyta się „lekko". Posiada ona charakter dosyć, pomimo wszystko, specjalny. Jednakże trud przebrnięcia przez gąszcz terminów bilansowych i bilansowych cyfr opłaca się całkowicie, odsłania bowiem szereg spraw istotnych w dyskusji nad polskim etatyzmem.

Państwo produkuje i sprzedaje coraz więcej towarów i usług. Przedsiębiorczość państwowa wzrasta z każdym rokiem, do czego przyczyniła się w dużym stopniu także i specjalna rola państwa w kryzysie. Należałoby się przeto spodziewać, że sprawdziany rentowności odpowiednio będą się wykształcać, już choćby nietyle dla umożliwienia kontroli społeczeństwu, ile dla wewnętrznej orjentacji kierownictwa państwowej polityki gospodarczej. A tymczasem...

Stan rzeczy zarysowany w omawianej książce daje obraz bardzo charakterystyczny. Okazuje się przedewszystkiem, że ustawodawstwo nasze w zakresie rachunkowości szwankuje tutaj bardzo poważnie. Brak w niem ogólniejszego planu, dadzą się też stwierdzić doniosłe luki, a nawet i sprzeczności. Na tem tle przejawia się wyraźna tendencja większości przedsiębiorstw państwowych „poprawiania" swoich finansowych wyników, t. j. przedstawiania ich w świetle korzystniejszem, niż to ma miejsce w rzeczywistości.

Jak już zaznaczono, odchylenia między wynikami bilansowemi a rzeczywistemi tłumaczą się stosowaniem nieodpowiednich praktyk rachunkowych w zakresie obliczania czystego zysku, odpisów na amortyzację, wydatków na inwestycje, dotacyj Skarbu Państwa, spłat pożyczkowych, podatków, zapisywania zysku z poprzedniego okresu obrachunkowego i w wielu innych kierunkach mniejszego już znaczenia.

Co do wielkości wspomnianych „odchyleń" — skala jest niezmiernie szeroka. Szereg przedsiębiorstw układa swoje bilanse w znacznem przybliżeniu do rzeczywistości, w stosunku do innych autor ustalił na konkretnych przykładach, zaczerpniętych z materjałów Najwyższej Izby Kontroli, odchylenia wprost fantastyczne, które zresztą dadzą się wyjaśnić tylko świadomem dążeniem do zniekształcenia bilansu. Szczególnie jaskrawego przykładu dostarcza tutaj gospodarka Polskich Kolei Państwowych w latach 1928/29 — 1930/31. I tak: w 1928/29 wykazały one czysty zysk w wysokości 282.105.509,71 zł., gdy tymczasem nie wyniósł on więcej, niż 182 miljony. Różnica tylko 55%. W 1930/31 — zysk został fikcyjnie powiększony o 76,1 miljona zł., co daje z kolei cyfrę procentową 65,9%. Notorycznie nieprawidłową rachunkowość wykazywały bilanse Lasów Państwowych. Bardzo obciążoną hypotekę mają też np. Państwowe Zakłady Przemysłowo-Zbożowe w Lublinie, które w r. 1930/331 fikcyjnie powiększyły zysk bilansowy o 135%. Oczywiście nie sposób wyliczyć w krótkiej notatce wszystkich jaskrawych faktów, ustalonych przez autora. W każdym razie materjał zebrany zasługuje miejscami na nazwę sensacyjnego.

W związku z powyższem autor specjalnie podkreśla zaobserwowany przez siebie fakt, że w wielu wypadkach niektóre przedsiębiorstwa państwowe nie liczą się zupełnie z obowiązującemi przepisami rachunkowemi, a nawet z postanowieniami własnych statutów. Owa „niepraworządność" licznych przedsiębiorstw państwowych jest — zdaniem autora — tembardziej naganna, że właśnie od przedsiębiorstw państwowych wymagać należałoby, aby w niejednej dziedzinie były wzorem dla gospodarki prywatnej.

Przy całym tym krytycyzmie bez osłonek, książkę Bernadzikiewicza każdy inteligentny czytelnik uzna za pracę nawskroś pozytywną. Korzyść z niej odnieść mogą i powinni zarówno opozycjoniści, jak i zwolennicy aktualnej polityki i rozwoju stosunków w zakresie przedsiębiorczości państwowej. Dyskusję należy konkretyzować przez twórczą i niekiedy żmudną pracę myśli.

Można różnić się zasadniczo w poglądach na zagadnienie etatyzmu. W jednem wszakże wszyscy zgodzić się powinni. Skoro przedsiębiorczość państwowa jest faktem o tak szerokim zasięgu (od 15 — 26% wartości majątku narodowego według obliczeń prof. A. Heydla) i skoro nawet pod rządami antyetatystów nie dałoby się jej zbyt gwałtownie i w zbyt szerokim zakresie zredukować — niechże owa przedsiębiorczość wykształci należyte kryterja bilansowe swojej sprawności, pozwalające na przedmiotową ocenę jej ekonomji. Społeczeństwo, jako takie, ma prawo do realnej kontroli, niezbędnej również dla kierowników państwowej polityki gospodarczej.

Z tych wszystkich względów trzeba „sprawę odpowiednich zmian w rachunkowości i zamknięciach rachunkowych

przedsiębiorstw państwowych w Polsce uznać za ważną i pilną" (str. 108).

Na zakończenie jedna nietaktowna uwaga. Nie będzie winą autora, a tembardziej przygodnego recenzenta, jeśli monografja „radosnej twórczości bilansowej" polskiego etatyzmu skłoni może przypadkiem jakiegoś entuzjastę ku myśli sceptycznej, w ironicznem tego słowa znaczeniu.

ANDRZEJ DROHOMIRECKI

JACQUES BAINVILLE

Z OSTATNICH (28 marca) wyborów do Akademji Francuskiej, wyszły zwycięzko z urny trzy nazwiska, mianowicie J. Bainville'a, A. Bellessort'a i Claude Farrère'a, którym dostały się fotele, opróżnione przez śmierć Poincarè'go, księdza Brémond'a i Barthou. Wynik tych wyborów akademickich jest dość znamienny z tego powodu, że dwaj pierwsi wybrańcy są monarchistami, a trzeci nie jest zbyt gorącym zwolennikiem trzeciej Respubliki. Pozatem i z tego jeszcze względu, że nad swoimi współzawodnikami, wśród których było paru dość groźnych, mieli oni ogromną przewagę głosów (tak np. Bainville na 27 głosujących otrzymał głosów 20, podczas gdy Daniel Halèvy tylko 2, a sprawozdawca polityczny *„Revue des deux Mondes"*, Rénè Pinon, pięć).

Najlepiej znany jest u nas powieściopisarz Claude Farrère, najmniej—świetny esseista i krytyk literacki, André Bellessort; najwięcej wszakże obchodzi nas J. Bainville, jest bowiem jednym z najprzenikliwszych umysłów politycznych naszych czasów i pierwszorzędnym pisarzem.

Urodził się Bainville w 1879 roku, studjował prawo w Paryżu, i już jako młodzieniec dwudziestoletni zwrócił na siebie uwagę piękną książką p. t. *„Louis II de Bavière"*, później parokrotnie wydawaną. Wkrótce potem, przez stosunki z M. Barrès'em, zbliżył się do grupy nacjonalistów H. Vaugeois i Ch. Maurras. a gdy powstał ich dziennik *„L'Action Française"*, stał się jego stałym współpracownikiem i tu zasłynął jako pisarz w sprawach polityki zagranicznej.

Z większych prac ogłosił kilka następujących, które go stawiają w szeregu najlepszych znawców historji współczesnej— *„Bismarck et la France"*, *„Le Coup d'Agadir et la question d'Orient"*; *„L'Histoire de deux peuples"*, *„Les conséquences politiques de la Paix"*, *„La guerre et l'Italie"* i t. p. W późniejszych czasach ogłosił kapitalną *„Histoire de France"* oraz dzieło o Napoleonie. Obecnie zajęty jest Bainville historją „Trzeciej Respubliki", z którego to dzieła parę rozdziałów ukazało się w miesięczniku *„Revue Universelle"*. Wszystkie te, tak liczne, prace nie wyczerpują jego płodnej działalności pisarskiej, prócz nich bowiem zużywa się Bainville w codziennej pracy dziennikarskiej, zasilając artykułami swojemi nietylko *„L'Action Française"*, lecz i inne pisma, jak *„Libertè"*, *„Petit Parisien"*, *„La Nation Belge"* i t. d.

Jakim jest pisarzem, jakiej miary dziennikarzem, o tem świadczą liczne głosy współkolegów, którzy przyjęli jego wybór do Akademji z najwyższem zadowoleniem.

Oto jeden z tych głosów, pochodzący w dodatku także od wybitnego publicysty: „Jego sposób rozumienia naszego zawodu" — pisze L. Romier — „wyklucza emfazę zarówno jak i niedbalstwo, zarozumiałość jak i chwiejność. Zaznacza się on szacunkiem dla rozumu, stanowczością i pracowitością. Wskutek niezależności swego charakteru oraz swoich przekonań politycznych, pozbawiał się prawie zawsze tych łatwości w informowaniu się, jakie znajdują się w kołach oficjalnych. Zastępował to bezpośredniem badaniem dokumentów, dotyczących kwestji, którą zamierzał traktować... Prasa francuska szczyci się nim" etc....

W tym sensie mówią o Bainville'u inni jeszcze jego koledzy, podnosząc zarówno jego sumienność zawodową jak i trafność sądu oraz głęboką znajomość stosunków politycznych naszej epoki.

W. J.

IDEJE SPOŁECZNE CHESTERTONA

CZWARTKOWE odczyty sekcji akademickiej Stronnictwa Narodowego zyskują sobie coraz większą popularność.

Dnia 28 marca, przy wypełnionej sali, autor głośnej książki o „Gospodarce narodowej" p. Adam Doboszyński wygłosił odczyt o „Ideach społecznych Chestertona".

Aby zrozumieć poglądy ekonomiczne autora „Kuli i krzyża", trzeba zrozumieć jego katolicyzm. Chesterton jest neofitą i jego stosunek do religji jest żarliwy, jako do idei żywej, która dokonała rewolucji w jego psychice. Jest pozatem optymistyczny, co łatwo zrozumieć znając sylwetkę fizyczną Chestertona. W rozwoju katolicyzmu jako religji zawsze zaznaczały się dwa prądy, pesymistyczny i optymistyczny. Największym przedstawicielem pierwszego był Św. Augustyn, głosicielami drugiego Św. Franciszek i Św. Tomasz, o których książki napisał Chesterton. Pierwszy z nich przywrócił znaczenie życiu doczesnemu, poprzednio negowanemu, drugi dokonał rehabilitacji rozumu. To też Chesterton uważa ich wiek, wiek XIII za ostatni prawdziwy wiek postępu.

Z tych założeń wynikają ideje społeczne angielskiego autora. Jest to przedewszystkiem dążenie do jaknajwiększego upowszechnienia własności, rozumianej w znaczeniu katolickiem, a przeciwstawionej ujęciu jej kapitalistycznemu jako przedsiębiorczości. Zakładane przez Chestertona *„Distributive societies"* mają na celu właśnie szerzenie owej „religji drobnej własności". Z tą podstawową tezą łączy się walka z kapitalizmem, a szczególnie z trustami, oraz wielka sympatja dla wsi, jako reprezentującej ową drobną własność w sposób najidealniejszy. Państwo w idealnym ustroju Chestertona pilnowałoby tylko, żeby własność gdzieś się znowu nie skoncentrowała. Ludzie żyliby szczęśliwem, wolnem życiem we wsiach i rzadko rozrzuconych miasteczkach, większość maszyn zostałaby zniszczona.

Ideje społeczne Chestertone są często paradoksalne, czasem naiwne lub zbyt skrajne. Są jednak zawsze twórcze i pełne wiary w lepszą przyszłość. Chesterton należy do tych, którzy wierzą w to, że obecnie wchodzimy w nową epokę, która obali materjalistyczne, degenerujące założenia humanizmu i wkroczy znowu na drogę, którą zaczęło iść średniowiecze. Oczywiście, powrót do średniowiecza dotyczy tylko idei i założeń, nie zaś przemijającego, materjalnego i społecznego oblicza epoki. Cherteston nie jest bardzo powszechnie znany, ale wpływ jego sposobu myślenia jest ogromny. Jako prekursorowi wielkiej fali nadchodzącego, nowego, twórczego okresu w dziejach i jako naszemu gorącemu sprzymierzeńcowi i przyjacielowi należy mu się od nas szacunek i wdzięczność. Nasz ruch narodowy oprócz myśli tak bardzo zgodnej z ideami Chestertona posiada jeszcze dynamikę, której brak prekursorom i jest potężnem narzędziem w walce ze zgniłą i przeżytą epoką. Niemniej jednak nie powinniśmy zapominać, ile zawdzięczamy Chestertonowi.

AMI

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO I ARTYSTYCZNEGO

Jak już informowaliśmy, dn. 6 b. m. w sali Konserwatorjum odbędzie się „Wieczór muzyki i żywego słowa", na którym p. Stanisław Staniewicz odegra utwory Szopena, Schuberta i Schumanna, zaś Wanda Miłaszewska odczyta trzy niedrukowane dotąd urywki swej prozy. Miło nam donieść, iż jeden z nich znakomita autorka przeznaczyła dla „Myśli Narodowej".

*

Znakomity artysta dramatyczny, Ludwik Solski, obchodzi w tym roku 60-lecie swej pracy scenicznej. Jest to zdarzenie w dziejach teatru bardzo rzadkie, zwłaszcza gdy artysta, pomimo tak podeszłego wieku, może na swym jubileuszu sam występować w dużej roli. W dn. 13 kwietnia teatr Polski wystawi „Judasza" K. H. Rostworowskiego z Solskim w roli tytułowej. Tow. krzewienia kultury teatralnej przygotowuje na ten dzień uroczystość. Wydana będzie przy tej okazji książka pamiątkowa, poświęcona Solskiemu.

*

Celem uczczenia 10-ej rocznicy zgonu Wł. St. Reymonta, wyznaczyła wdowa jako pierwszą nagrodę zł. 2.000, a Zakład Narodowy im. Ossolińskich jako drugą nagrodę zł. 1.000 — za najlepsze prace o życiu i całokształcie twórczości tego pisarza.

Prace dotychczas nieogłoszone, nie przekraczające 15 arkuszy druku (63 × 95) składane być mają w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Lwowie na ręce dyr. dr. L. Bernackiego, do 1 maja 1936 r. (pod godłem). Przewodniczący sądu konkursowego: prof. Ignacy Chrzanowski.

*

Nagrodę literacką m. Krakowa podzielono w tym roku na dwie części (po 2.000 zł.). Jedną otrzymał feljetonista, Zygmunt Nowakowski za powieść „Start Edmunda Sulimy", a drugą — Aniela Gruszecka (Nitschowa) za powieść „Przygoda w nieznanym kraju".

*

W nr. 3 „Wici Wielkopolskich" znajdujemy dwie pozycje dotyczące Kasprowicza. Stefan Papée pisze o wystawionem w Poznaniu „Marchołcie", ubolewając, że sztukę zdjęto z afisza (z powodu nieporozumień z córką poety), a potem S. A. Lwowski zamieszcza fotografję kapliczki Kasprowicza, postawionej w Zaleszczykach według projektu Wł. Jarockiego (zięcia) i przez niego wewnątrz malowanej. „Znalazłem"—pisze korespondent—„drugą pamiątkę—dom, w którym wmurowana jest tablica, mówiąca o tem, że tu tworzył w r. 1899 Jan Kasprowicz swój potężny hymn „Święty Boże! Święty Mocny". Niestety, dom jest w ręku żydowskim"...

W tymże nrze „Wici Wielkopolskich" znalazły się interesujące listy Przybyszewskiego, pisane z Norwegji w r. 1895. Tamże A. Rogalskiego sylwetka emancypantki, Julji Wojkowskiej (1815—1851).

*

Minister oświecenia publicznego p. Jędrzejewicz skasował katedrę historji powszechnej na Uniw. Jagiellońskim, zajmowanej przez prof. Wacława Sobieskiego. O przyczynach tego rozporządzenia pisaliśmy przed paru tygodniami.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Jadwiga Gamska już w swoim pierwszym zbiorze utworów poetyckich („Przechodniom", Ossolineum, 1927) ujawniła najbardziej znamienne cechy swej liryki:

„Jakże strasznie boli—życie własne w ręce
paciorek po paciorku przesuwać... do Krzyża"...

I w dalszym ciągu twórczości pozostała jej ta skłonność do bolesnej analizy własnego życia, opartej głównie na rozważaniu dylematu: Bóg—i doczesność. Ciężkie muszą być walki wewnętrzne poetki. Jeszcze silniej, niż w tomiku poprzednim, odczuwamy to w nowej książce, noszącej nawet tytuł: „Między niebem a ziemią" (Lwów, nakł. księg. Gubrynowicza). Wprawdzie „Powitanie", nastrojone jakby na nutę „Księgi ubogich" Kasprowicza, tchnie otuchą i niemal radością, ale przecie nawet w wiosennem „Kwitnieniu" odzywa się cierń krwawy w sercu poetki. Jeszcze wyraźniej tę mękę serdeczną wyczuwa się w „Zmroku", wierszu nabrzmiałym zmysłowością. Dalej wprost tragedją wielką rozbrzmiewają modlitwy poetki: jej „*Credo*", w którem snuje się myśl o piekielnem potępieniu, „Hymn do Ducha Świętego" — parafraza „*Veni Creator*", sekundowana satanicznym motywem Lucyfera — potem zaś makabryczne „*Requiem*" i jeszcze bardziej w zaświaty ciągnąca się „Msza"—msza żałobna przy zwłokach.

Utwór ten skomponowany jest muzycznie, jak jeszcze kilka innych wierszy w tym zbiorku. W coraz to zmieniającej się rytmice—odpowiadającej nastrojowi i treści kolejnych części nabożeństwa — dokonywa się i kolejna ewolucja stanów duchowych samej poetki: wyznanie grzechu, akt wiary, rozpaczliwe kajanie się przed Niewinnym Barankiem Bożym. Cała walka — ale jakby niedokończona. Nie powiedziała autorka wyraźnie, dokąd pójdzie, gdy posłyszała „*Ite missa est!*" Uciszenie duszy wydaje się jakby chwilowe, co więcej: jakby wmówione siłą woli cierpiącej osobie.

Wypowiedzią uczuć poetki są zapewne też, dokonane przez nią, przekłady „Hymnów średniowiecznych" — zwłaszcza hymnów Abelarda oraz hymnów irlandzkich (a więc tych, które dotąd w naszej literaturze nie były tłumaczone). Przekłady te są giętkie i muzykalne, a duchem pokrewne oryginałowi.

Wiersze o Żwirce i Wigurze, o murarzu, o „Panu Tadeuszu" wreszcie są dowodem, że poetka umie wyjść poza sferę przeżyć własnych. Zresztą czy przeżywamy tylko nasze osobiste bóle i zgryzoty? Jesteśmy przecież częścią społeczeństwa i musimy czuć z niem razem. (J. B.)

*

Rodzina Posadzych, bezpośrednio spokrewniona z Janem Kasprowiczem, chętnie bierze się do pióra, pracując na niwie literackiej wydatnie i pożytecznie. Wszystkim przyświecają wysokie cele moralne, patrjotyczne i religijne, a hasło „odrodzić Polskę w Chrystusie" było nawet tytułem książki jednego z Posadzych, Ludwika. Troska obywatelska i patrjotyczna, złączona ze szczytną ideą apostolską, ożywia książkę ks. Ignacego Posadzego „Drogą pielgrzymów" (Potulice, nakł. Seminarjum Zagranicznego). Są to — jak głosi podtytuł—wrażenia z objazdu kolonij polskich w południowej Ameryce przez autora, dziś stojącego na czele najważniejszej w Polsce instytucji misjologicznej. Wrażenia te cieszyły się ogromnem uznaniem i poczytnością, gdy drukowały się—jako „listy z podróży"—w „Kurjerze Poznańskim". Zwiększyła się ich poczytność, gdy listy te wyszły w książce. W parę miesięcy rozchwycono cały nakład, a to samo czeka niewątpliwie i obecne, drugie wydanie, zwłaszcza że i cenę zniżono do połowy i liczbę ilustracyj zwiększono do 80. Nie ilustracje jednak wpłynęły na poczytność. Przyczyny były inne, a dwie przedewszystkiem: 1) aktualność tematu, 2) świetny styl narratorski autora. Polszczyzna jest wzorowa, choć prosta i bezpośrednia, nie siląca się na pseudoartystyczne *trick*'i. Jednym zwięzłym zwrotem potrafi autor nieraz odmalować żywo całą scenę, scharakteryzować osobę lub środowisko. Kapitalne są rozmowy ze zdziczałymi „kaboklami", z których jeden np., pierwszy raz wybrawszy się do spowiedzi, powitał księdza przy konfesjonale: *Bom dia, como vae*? (dzień dobry, jak się ksiądz miewa) i wyznał, że nie ma żadnych grzechów, bo nie wie, co to grzech. Takich scen, opowiedzianych z humorem, spotykamy tu dużo. A są i sceny rozrzewniające, chwytające za serce. Prawdziwie z miłością szedł do rodaków za Oceanem ks. Posadzy, z miłością też gorącą był podejmowany w każdej osadzie, a wszędzie zdziałał wiele dla Ojczyzny i Kościoła swą radą, zachętą, inicjatywą, przykładem, pośrednictwem. Przebywający w miastach-kolosach, czy w olbrzymich puszczach, czy nad najpiękniejszemi wodospadami w świecie osadnicy polscy, dzięki niemu, nabrali większej świadomości o związku swym z Macierzą. Ktokolwiek zajmuje się losem polskiej emigracji, powinien koniecznie zaznajomić się z tą książką. Jest to jedna z najciekawszych, najlepiej napisanych i najbardziej pożytecznych książek podróżniczych z lat ostatnich. (J. B.).

ZE ŚWIATA SZTUKI

WSPÓŁCZESNA RZEŹBA FRANCUSKA

MATERJAŁ plastyczny, jaki zgromadziła wystawa współczesnej rzeźby francuskiej w IPS-ie, nie jest materjałem do zwykłej recenzji. Zdawanie bowiem sprawy z dzieł, które istnieją (w wielu wypadkach) od lat kilkunastu, lub kilkudziesięciu i były wielokrotnie wystawiane, nie miałoby sensu, jak również nie miałaby większego znaczenia dorywcza — z konieczności — w tygodniku ocena tych rzeźb, nieraz o charakterze muzealnym.

Właściwsze będzie rozpatrzenie całości, już jako tworu poniekąd o znamionach historycznych, zdanie sobie sprawy z jego znaczenia, jako wkładu do ogólnego skarbca kultury. A ponieważ takie wkłady tem wartościowsze są, im bardziej indywidualne, odrębne — wykazanie tej odrębności będzie naszem głównem zadaniem. Dla ułatwienia przypomnijmy sobie rodzaj i poziom naszej rzeźby współczesnej. Jeśli pominiemy prace kilku starszych tuzów rzeźbiarstwa, chadzających luzem, a zwrócimy uwagę na młode pokolenie naszych rzeźbiarzy, uderzy nas jedno. Ich działalność, zapewne mimowoli, przybiera charakter pracy zespołowej. Poziom ogółu jest wysoki, zrozumienie formy rzeźbiarskiej bardzo trafne, lecz poszczególne jednostki nie odróżniają się od siebie niczem naprawdę istotnem. Nieraz osoby naj-

bardziej ze światem sztuki zżyte, nawet plastycy z innych działów (a cóż dopiero mówić o szerszej publiczności!) nie są w stanie, bez pomocy katalogu, odróżnić autorów dwu różnych rzeźb. Praca Z-a z powodzeniem może być wzięta za pracę X-a, dzieło X-a — za twór Y-ka, choć wszystkie te uwory zostały wykonane przez rzeźbiarzy dojrzałych i niewątpliwie utalentowanych. Można powiedzieć, że wysoki poziom zawdzięczają dobrej szkole, z której wyszli, to znaczy swemu nauczycielowi, ale ten, poza wszystkiemi innemi wartościami, nie mógł ich przecież obdarzyć indywidualnością. Od zewnątrz można uzyskać tylko środki, służące do kształtowania dzieła, ale wizję samego dzieła trzeba z siebie wydobyć. Na to przyjdzie zapewne czas, w miarę krzepnięcia talentów.

Tymczasem wystawa francuska jest dobrym ku temu przykładem.

Tu, nawet między dwoma rzeźbiarzami, którzy tkwią w tej samej epoce, tworzą prawie w tym samym czasie, mimo zewnętrznych, pozornie niewielkich różnic, wyczuwa się odrazu różnicę zasadniczą: każdy z nich co innego chciał powiedzieć, choć przemawiali językiem podobnym. Między niektóremi dziełami Bernarda, Despiau'a i Maillola nietrudno nam będzie wyszukać pewne podobieństwa, mimo wszystko nie są one istotne, istotą rzeczy jest zawsze inna treść plastycznej wypowiedzi.

To, co te rzeźby z sobą wiąże, tkwi poza granicą związków powierzchownych. Rzeźbiarzom francuskim nie wystarcza sama doskonałość formy, oni są jakby przeświadczeni, że to się rozumie samo przez się, że to jest oczywiste, że dopiero od tego zaczyna się sztuka i te środki doskonałe służą im do utrwalenia w bryle wyrazu i charakteru; wszystko jedno, czy to będzie wyraz twarzy, charakter głowy, czy wyraz ruchu, jak w „Dziewczynie z dzbankiem" Bernarda. Rodin utrwala wymowność gestu, poluje na szczerość najbardziej bezpośrednich odruchów, Bourdelle głowy France'a i Rodina nasycił siłą wyrazu. Despiau, najwięcej ku współczesności wysunięty szaniec, w najbardziej powściągliwej formie ukrywa subtelność najdyskretniej, światłocieniem bryły, znaczonego wyrazu. W subordynacji Despiau, w jego niechęci do popisywania się doskonałością formy jest coś, co przypomina styl pisarski Dąbrowskiej, z „Nocy i dni"; ta prostota wynika także z wielkiego doświadczenia artystycznego.

Wyraz, który uduchowia martwe ciało rzeźby, musimy uznać za właściwość dzieł wystawionych najbardziej powszechną i znamienną. Jego działanie w różnej formie i postaci objawia się na przestrzeni całego okresu rzeźby francuskiej, jaki reprezentują dzieła wystawione, od Rodina aż do M. Gimonda („Niewiniątko"). Nie jest ono tak gwałtowne, nigdy nie przybiera form tak krańcowych, np. jak w sztuce niemieckiej (deformacja); rdzeni Francuzi zawsze cenili umiar, posiadają bowiem takt artystyczny, który pozwala im się wypowiedzieć, bez uciekania się do pomocy sztuczek cyrkowych i błazeńskich grymasów międzynarodowych obieżyświatów plastyki.

Nieutożsamianie środków, któremi wypowiada się sztuka, z jej celem, niepoprzestawanie na zdobyczach jedynie formalnych, oto cechy dostrzeżone w wystawie rzeźby francuskiej, cechy które przedewszystkiem musimy zanotować. Należy mieć je na uwadze dlatego również, że nasi wyznawcy „malarstwa dla malarstwa" zawsze nas odsyłają po wzór do Francji. Tymczasem pokazano nam w Warszawie sztukę, nie po ich myśli jak widać, bo naprawdę francuską, a nie paryską.

Wystawa rzeźby francuskiej cieszyła się wielkiem i zasłużonem powodzeniem i była licznie zwiedzana. Z tego wniosek, że publiczność nie zawiedzie, gdy nie będzie się jej częstować strawą jałową.

WIKTOR PODOSKI

*

Nagrodę państwową, dla plastyków przeznaczoną, otrzymał w tym roku Wojciech Jastrzębowski, profesor architektury wnętrz w Warszawskiej Akademji sztuk pięknych. W motywach tego wyboru kierowano się zasługami, jakie ten artysta położył na polu „sztuki przestrzennego zespołu, jako czynnika wyjątkowo ważnego w okresie odbudowy odrodzonego państwa polskiego". Nagroda wynosi 7.000 zł. Kandydatami do nagrody byli pozatem: Axentowicz, Boznańska, Dunikowski, Kędzierski, Kossak, Pautsch, Ruszczyc, Stryjeńska, Weiss.

MUZYKA

FILHARMONJA

SŁUCHAJĄC koncertu fortepianowego *b-moll* Czajkowskiego, zastanawiałem się, dlaczego tak stale i uparcie przeciwstawia się go szkole wyrosłej wokół postaci Rimskiego-Korsakowa, czyniąc z twórcy „Onegina" i „Damy Pikowej" nieledwie jakąś międzynarodową postać. Prawda — Korsakow głosił programową rosyjskość, wywierając silny wpływ na muzykę rosyjską aż po dzień dzisiejszy, ale czyż Czajkowski jest chociaż o jakąś odrobinę mniej narodowym twórcą od tych, którzy komponowali „Złotego kogucika", „Bajkę o carze Sałtanie", albo „Pietruszkę" czy „Święto wiosny"? Posłuchajmy rytmu trzeciej części koncertu *b-moll*, wczujmy się w jej harmonję i charakter, tęskliwy i rozlewny. „Czajkowski to indywidualista, w przeciwieństwie do..." — mówi inne sformułowanie. Prawda i to może — ale indywidualista wyrosły ze zbiorowości narodowej, tkwiący w niej mocno korzeniami, mimo obcych, wyrosłych na zachodniej glebie prądów romantycznych, którym ulegał, stając się nawet typowym ich przedstawicielem i jednym z najlepszych wyrazicieli swoich czasów.

Przykład ten uczy w sposób dobitny i chyba przekonywający niepowołanych twórców teoryj, usiłujących sztukę narodową zepchnąć doktrynersko w ciasne ramy programowości. Lepiejby było przerwać pisaninę, odłożyć ogłaszanie memorjałów, a zastanowić się nad istotą sztuki i narodu. Pozwoli to nawet na zrozumienie bardzo wielu innych zagadnień.

Koncert rozpoczęto uwerturą Statkowskiego do opery „Marja", osnutej na tle poematu A. Malczewskiego, oraz koncertem fortepianowym *a-dur* Mozarta.

Drugą część wieczoru wypełnił poemat symfoniczny Rytla „Sen Dantego" oraz baśń muzyczna Rimskiego-Korsakowa „Sadko". Stworzenie dzieła kongeljalnego z twórczością Danta jest pomysłem śmiałym i świadczącym o dużych ambicjach kompozytora. Ambicje te są znamienne i charakterystyczne dla okresu, który reprezentuje artysta, niemniej jednak, mimo rzetelnego, chwalebnego wysiłku oraz przejawów wysokiego znawstwa wiedzy muzycznej, zilustrować słów Dantego zgodnie z duchem poety nie sposób, właśnie dlatego, iż okres ten, dla którego postać Rytla jest reprezentatywna, odbiega swoim charakterem od czasów, których wykwitem była „*Vita nuova*". Jest to doprawdy zadanie nie ponad siły jednostki, ale czasów.

Orkiestrę prowadził, jak zawsze bardzo dobry, Walerjan Bierdiajew.

Solistą był Aleksander Uninskij.

W. NARUSZ

SPOKÓJ CZY ENTUZJAZM

Na AKADEMJI w teatrze Wielkim b. minister, obecnie redaktor, wychowawca społeczeństwa, Bogusław Miedziński, mówił:

„A teraz, drodzy państwo, weźmy dzień dzisiejszy, weźmy dzisiejszą sytuację. Znowu dzieją się w Polsce rzeczy ważne, odbywają się wielkie, doniosłe przemiany. Proszę popatrzeć, jak na nie świat reaguje, proszę popatrzeć na ten niepokój, na te nerwy, które w tej chwili grają w największych mocarstwach. Proszę zwrócić uwagę na ten imponujący spokój, który jest w Polsce.

Czy ktokolwiek z was, drodzy państwo, ma wątpliwość, dlaczego jest ten spokój? Czy ten spokój byłby, gdyby nie nasza świadomość, że jest gdzieś na końcu Alei Ujazdowskich, czy w dalekiem Wilnie, ten Samotny Człowiek, który gdzieś chodzi i myśli — myśli na długiej fali, i który jest zawsze gotów do wzięcia się za bary z rzeczami i zagadnieniami wielkiemi właśnie".

Jednocześnie inny mąż stanu, b. premjer, Janusz Jędrzejewicz, reformator szkół i wogóle kultury polskiej, twórca Akademji Literatury, prezes Tow. krzewienia kultury teatralnej, jednem słowem wychowawca, trzymający rękę na sercu narodu, utrzymuje, że spokój ten w Polsce nie jest martwotą. Owszem naród znajduje się w stanie wysokiego napięcia świadomości dziejowej i entuzjazmu, w takim właśnie stanie, który szuka dla siebie wyrazu emocjonalnego w postaci hymnu. Żywa aktywność twórcza narodu domaga się „expressji" poetyckiej...

W artykule, zamieszczonym w „Expressie" pisze ten mąż stanu: „Słowa Mazurka Dąbrowskiego nie odpowiadają godności wielkiego narodu, ani jego postawie państwowej"... „Entuzjazm negatywny słów „Jeszcze Polska nie zginęła"— powinien być zastąpiony entuzjazmem afirmatywnym, sławiącym Polskę, która jest i będzie po wieczne czasy"...

Wynikałoby z tego, że p. Jędrzejewicz, jako entuzjasta, bije o całą długość wieczności p. Miedzińskiego, który wiarę narodu widzi opartą o żywot jednego człowieka. Może ich jednak pogodzi sąd konkursowy „Expressu". Na kompetencję tego sądu p. Jędzejewicz zgóry się zgodzi: „Co do konkursu" — takie są jego słowa — „jako sposobu osiągnięcia nowego tekstu, sądzę, że jest on ze wszystkich możliwych sposobów najtrafniejszy. I to właśnie konkurs otwarty, dopuszczający do głosu wszystkie warstwy społeczeństwa, gdyż to, co dla ogółu ma być przeznaczone, z ogółu powinno wypłynąć".

Zresztą od tego jest Akademja Literatury, aby ten projekt „przepracowała". Akademji trzeba przecież dać jakieś zajęcie. Pp. Kaden-Bandrowski, Boy, Irzykowski, Miriam, Rzymowski, Zieliński, Kleiner, wsłuchani w bicie serca narodu, są właśnie tymi, którzy swoim entuzjazmem wyczarują z duszy narodu wspaniały express entuzjazmu zbiorowego, dziejowego, afirmatywnego. A kiedyż lepsza pora się zdarzy, jak nie teraz, w dobie rozkwitu poezji Tuwima, Słonimskiego, Wittlina i Pawlikowskiej?

P. Jędrzejewicz chciałby widzieć w swojej Akademji biurokratycznej i w suggestjach zetatyzowanej duszy poetów większą siłę twórczą, niż ta, która się tliła w skromnych zasobach literackich Dąbrowskiego i Wybickiego — w lipcu 1797 we włoskiem Reggio. Ileż lepsze są dzisiaj warunki! Sędziowie dostaną diety, poeci nagrody ze skarbu państwa. A przytem spokój, imponujący całemu światu spokój, tak potrzebny przy robocie literackiej! Zapewne, nie brak też i roztargnień, bo jednocześnie zachęca się poetów do ideałów PEN. klubowych, co sprawia, że poeta dzisiejszy gotówby hymn pisać każdemu innemu narodowi. Ale w porze przedwyborczej chwila jest bardzo dogodna, myśl poetycka zwrócona jest „frontem" do n a r o d u, właśnie. A to bardzo skupia i dodaje smaku rodzimości natchnieniom! Dobrze byłoby sprawę tak przyśpieszyć, aby można było w jesieni już z nowym hymnem na ustach iść do wyborów! Do szarego człowieka! Do „ogółu"!

Pierwiastek afery, najdobitniej charakteryzujący aktualnie miarodajną myśl polską, znalazł w tym pomyśle konkursu właściwy wyraz. Przed Polską niby przed cyrkiem stoi czerwony portjer w liberji i wykrzykuje: nowy program, najnowszy przebój nowej Polski, nowy hymn!

Bardzo unowożytnieni konserwatyści z obozu sanacyjnego tracą tutaj cierpliwość — wulgarność parwenjuszów zaczyna razić i „Czas" i „Słowo" wileńskie. Poseł Mackiewicz w „Słowie" doskonale się rozprawił z pomysłem, popartym przez Akademję Literatury:

„Czołem przed prasą o dużym nakładzie i dużej ilości informacyj, do której prasa czerwona niewątpliwie należy. Daleki jestem od powtarzania komunałów o prasie brukowej. Ale nie wyobrażam sobie, aby Akademja Francuska urządzała na współkę z *„Paris-Soir"* jakąś imprezę, choćby ta impreza nie nosiła tak zdecydowanie półinteligenckiego charakteru, jak ów pomysł zmiany hymnu narodowego drogą konkursu. Pyłkiem i prochem jestem w porównaniu z Polską Akademją Literatury. Śmiem jednak twierdzić, że większość Polaków będzie mego, a nie Expressu i Akademji zdania".

Bardzo słusznie. Ale przydałaby się konserwatystom konsekwencja w przestrzeganiu praw tradycyj narodowych. Sprawa hymnu jest jaskrawa, ale to tylko drobny epizod planowej akcji masońskiej, zmierzającej do odcięcia psychicznego Polski od przeszłości. Czemże był zamach na pisownię polską, szczęśliwie przez opinję udaremniony? Czemże są wszystkie „rozbudowy" nowych podstaw kultury? Czem usuwanie „narodu" z aktu konstytucyjnego? Czem walka z ideą narodową?

Niechże zachowawcy w zasadzie tę akcję potępią, niech jej nie wspierają. Naród nie uznający ciągłości historycznej za główną zasadę swego bytu, nie może czuć entuzjazmu dla swej przyszłości. Jeśli tej akcji nie położymy końca, to hymn „Jeszcze Polska nie zginęła!" — będzie śpiewany coraz powolniej i ciszej, bez wykrzyknika na końcu, ale raczej za znakiem pytania, jako znakiem zdziwienia.

Nie będzie entuzjazmu — będzie spokój...

COR

NA MARGINESIE

Na marginesie uchwalonej przez Sejm Konstytucji premjer Leon Kozłowski nakreślił (w „Gazecie Polskiej" 25 marca) uwagi, które słusznie — ze względu na jego stanowisko — uważane są za najgłębsze ujęcia ideologji, przyświecającej rządowi w tworzeniu tego aktu:

„Akt, który miał wczoraj miejsce w sejmie, uchwalenia nowej Konstytucji, należy do aktów bezwątpienia niezmiernie doniosłych, do tych najdonioślejszych wydarzeń, do tych wydarzeń o wadze historycznej. A osądzić to jest stosunkowo łatwo, bo przecież państwo nasze po odzyskaniu niepodległości już raz uchwaliło Konstytucję, i fakt uchwalenia takiej a nie innej Konstytucji — zdecydował o losach naszego państwa na cały szereg lat; zdecydował o tem, że warcholstwo i partyjnictwo swawolić poczęło, że partje nad państwo wyrosły, że w chwili najwyższego zagrożenia trzeba było wytoczyć karabiny maszynowe na ulice, że bat świstać musiał, aby świństwo i plugastwo, któremu ta Konstytucja pozwoliła hulać w życiu Polski, zostały ukrócone".

Na zakończenie wywodów autor dodał:

„Jest rzeczą trudną wiedzieć i rozumieć, co było. Wielką sztuką jest, wymaga wielkiej przenikliwości, rozumieć to, co się dzieje, co jest. Jest rzeczą dostępną genjuszom wiedzieć, co będzie. Nie będę dlatego rozważał wszystkiego, co nam nowa Konstytucja w przyszłości przyniesie".

Było to ostatnie wystąpienie publiczne tego męża stanu. Gdy pisał te słowa, nie było mu dane wiedzieć, że za parę dni ustąpi.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.** Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM